



SOLIDARNOŚĆ PW

WYDANIE SPECJALNE

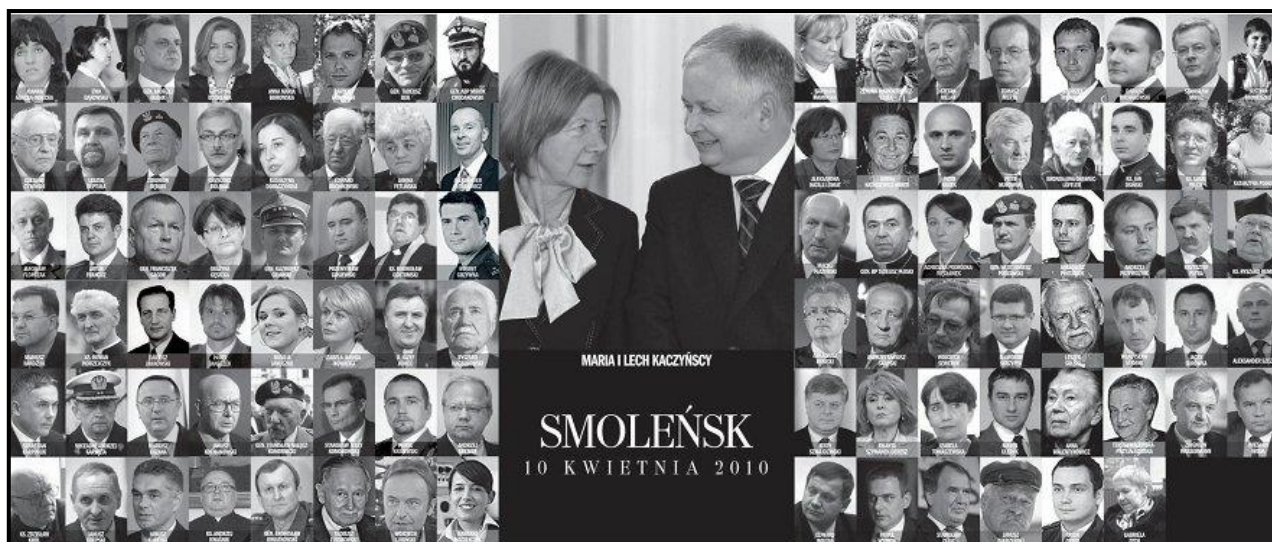
SMOLEŃSK 10. kwietnia 2010 roku



Miejsce katastrofy samolotu



Odeszli, ale zostali w pamięci milionów Polaków i w pamięci swoich bliskich



Lech Kaczyński – prezydent RP, Maria Kaczyńska – małżonka prezydenta RP, Ryszard Kaczorowski – ostatni prezydent RP na uchodźstwie, Krzysztof Putra – wicemarszałek Sejmu RP, Jerzy Szmajdziński – wicemarszałek Sejmu RP, Krystyna Bochenek – wicemarszałek Senatu RP, Janusz Kochanowski – rzecznik praw obywatelskich, Janusz Krupski – kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Janusz Kurtyka – prezes Instytutu Pamięci Narodowej, Sławomir Skrzypek – prezes Narodowego Banku Polskiego, Maciej Płażyński – poseł, prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, Władysław Stasiak – szef Kancelarii Prezydenta RP, Aleksander Szczygło – szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, Paweł Wypych – sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP, Stanisław Komorowski – podsekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej, Andrzej Kremer – podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, Tomasz Merta – podsekretarz stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Mariusz Handzlik – podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP, Andrzej Przewoźnik – sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Przedstawiciele parlamentu: Leszek Deptuła, Grzegorz Dolniak, Grażyna Gęsicka, Przemysław Gosiewski, Izabela Jaruga-Nowacka, Sebastian Karpiniuk, Aleksandra Natalli-Świat, Arkadiusz Rybicki, Jolanta Szymanek-Deresz, Zbigniew Wassermann, Wiesław Woda, Edward Wojtas

Senatorowie: Janina Fetlińska, Stanisław Zając

Przedstawiciele Rodzin Katyńskich i innych stowarzyszeń: adw. Joanna Agacka-Indecka – prezes Naczelnej Rady Adwokackiej, Ewa Bąkowska – wnuczka gen. bryg. Mieczysława Smorawińskiego, Anna Maria Borowska – córka ppor. Franciszka Popławskiego, wiceprezes Gorzowskiej Rodziny Katyńskiej (od 6. listopada 2009), Bartosz Borowski – przedstawiciel Gorzowskiej Rodziny Katyńskiej, wnuk Anny Marii Borowskiej (syn Franciszka Borowskiego), Czesław Cywiński – prezes Światowego Związku Żołnierzy AK, Edward Duchnowski – sekretarz generalny Związku Sybiraków, ks. prałat Bronisław Gostomski – dziekan dekanatu Londyn-Północ, proboszcz parafii św. Andrzeja Boboli w Londynie, o. Józef Joniec SchP – prezes Stowarzyszenia Parafiada, ks. Zdzisław Król – kapelan Warszawskiej Rodziny Katyńskiej (1987–2007), ks. Andrzej Kwaśnik – kapelan Federacji Rodzin Katyńskich, Tadeusz Lutoborski – były prezes Warszawskiej Rodziny Katyńskiej, syn ppor. Adama Lutoborskiego, Bożena Mamontowicz-Łojek – prezes Polskiej Fundacji Katyńskiej, Stefan Melak – prezes Komitetu Katyńskiego, adw. Stanisław Mikke – wiceprzewodniczący ROPWiM, redaktor naczelny miesięcznika „Palestra”, Piotr Nurowski – prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego, Bronisław Orawiec-Löffler – bratanica majora Franciszka Orawca, zamordowanego w Katyniu; członkini Stowarzyszenia Rodzin Katyńskich z Podhala, Katarzyna Piskorska – córka Tomasza Piskorskiego, Andrzej Sariusz-Skapski – prezes Federacji Rodzin Katyńskich, Wojciech Seweryn – rzeźbiarz, autor Pomnika Ofiar Katynia w Chicago, Leszek Solski – syn kpt. Kazimierza Solskiego, oficera i sportowca oraz bratanek majora Adama Solskiego, zamordowanych w Katyniu, członek Stowarzyszenia Rodzina Katyńska, Teresa Walewska-Przyjałkowska – Fundacja „Golgota Wschodu”, Anna Walentynowicz – działaczka Wolnych Związków Zawodowych, współzałożycielka NSZZ „Solidarność”, Gabriela Zych – prezes Stowarzyszenia Rodzina Katyńska w Kaliszu.

Przedstawiciele Sił Zbrojnych RP: gen. Franciszek Gągor – szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, gen. dyw. Tadeusz Buk – dowódca Wojsk Lądowych RP, gen. broni pil. Andrzej Błasik – dowódca Sił Powietrznych RP, wiceadmirał Andrzej Karweta – dowódca Marynarki Wojennej RP, gen. dyw. Włodzimierz Potasiński – dowódca Wojsk Specjalnych RP, gen. broni Bronisław Kwiatkowski – Dowódca Operacyjny Sił Zbrojnych RP, gen. bryg. Kazimierz Gilarski – dowódca Garnizonu Warszawa, bp. gen. dyw. Tadeusz Płoski – katolicki biskup polowy Wojska Polskiego, abp gen. bryg. Miron Chodakowski – prawosławny ordynariusz Wojska Polskiego, ks. płk Adam Pilch – p.o. Ewangelickiego Biskupa Wojskowego, ks. ppłk pil. Jan Osiński – Ordynariat Polowy Wojska Polskiego

Osoby towarzyszące: ppłk Zbigniew Dębski – członek Kapituły Orderu Wojennego Virtuti Militari, sekretarz Klubu Kawalerów Orderu Wojennego Virtuti Militari, Katarzyna Doraczyńska – zastępca dyrektora gabinetu szefa Kancelarii Prezydenta, radna dzielnicy Praga-Południe w Warszawie, Aleksander Fedorowicz – tłumacz języka rosyjskiego, ks. Roman Indrzejczyk – kapelan prezydenta, Dariusz Jankowski – aspirant w Zespole Obsługi Organizacyjnej Kancelarii Prezydenta (ur. 8 lipca 1955), Mariusz Kazana – dyrektor protokołu dyplomatycznego MSZ, gen. bryg. Stanisław Nałęcz-Komornicki – kanclerz Orderu Wojennego Virtuti Militari, płk dr hab. n. med. Wojciech Lubiński – lekarz prezydenta, rzecznik prasowy, sekretarz Rady Naukowej i z-ca komendanta Wojskowego Instytutu Medycznego, Barbara Mamińska – dyrektor biura kadr i odznaczeń w Kancelarii Prezydenta, Janina Natusiewicz-Mirer – sybiraczka, działaczka społeczna, dawna działaczka opozycji demokratycznej w Krakowie; osoba towarzysząca Annie Walentynowicz w podróży, ks. prof. Ryszard Rumianek – rektor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Izabela Tomaszewska – dyrektor zespołu protokolarnego Kancelarii Prezydenta, odpowiedzialna w Kancelarii za kontakty pierwszej damy, Janusz Zakrzeński – aktor teatralny i filmowy, członek rady programowej Związku Piłsudczyków,

Żołnierze Sił Powietrznych RP: mjr Robert Grzywna, kpt. Arkadiusz Protasiuk, por. Artur Ziętek, chor. Andrzej Michalak,

Cywilne pracownice wojska: Natalia Januszko, Barbara Maciejczyk, Justyna Moniuszko,

Funkcjonariusze BOR: mł. chor. Agnieszka Pogródka-Węclawek (funkcjonariuszka BOR wchodząca w skład załogi samolotu jako stewardesa).

Funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu: ppłk Jarosław Florczak, kpt. Dariusz Michałowski, por. Paweł Janeczek, ppor. Piotr Nosek, st. chor. Artur Francuz, chor. Jacek Surówka, chor. Paweł Krajewski, chor. Marek Uleryk.

Pamiętajmy o tych, którzy pozostali

Wszyscy pamiętamy chwilę, w której dowiedzieliśmy się o katastrofie smoleńskiej. Niedowierzanie, rozpacz, łzy. Poczucie jedności z bliskimi ofiar. Ze sobą nawzajem. Zaduma. Poczucie, że to, co wydarzyło się 10. kwietnia, zmienia nas na zawsze. Pokłady wrażliwości, z których istnienia nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy. I przekonanie, że ta wspólnota będzie trwać. Co z tego zostało po ośmiu latach?

Zapomnieliśmy, że „Smoleńsk” to przede wszystkim ból setek ludzi, których najbliżsi zginęli w katastrofie lotniczej. Katastrofie, o której przypomina im się każdego dnia. Wiele osób podkreślało w rozmowach z nami, że nie pozwolono im na godne przeżycie i zakończenie żałoby. Minęło tyle czasu, a oni wciąż, dzień po dniu, zmuszani są przez polityków, by rozdrapywać tę ranę.

Przez osiem ostatnich lat nie było tygodnia, w którym z katastrofy smoleńskiej nie uczyniono by spektaklu. Polityk X grzmi: mamy dowody, że doszło do zamachu, Polityk Y: jesteście wyznawcami religii smoleńskiej, Rzeczniczka Kremla ostro na temat zwrotu wraku – ileż takich wojen przez ostatnie lata obserwowaliśmy, praktycznie od samego początku. Wszystko to sprawiło, że katastrofa smoleńska została w pewien sposób zdehumanizowana – „Smoleńsk” stał się dla wielu jedynie kwestią polityczną – nie zginęli ludzie, a politycy.

Brak empatii – to rzecz, którą podkreślają rodziny smoleńskie. Ze strony polityków i urzędników – przecież także zwykłych ludzi. Jedna z kobiet, która w katastrofie smoleńskiej straciła tatę, opowiada, jak obcesowo została potraktowana przez prokuraturę. Kiedy w zeszłym miesiącu ekshumowano jego ciało, próbowała dowiedzieć się, czy zdąży ponownie pochować tatę przed 10. kwietnia. „Może się pani uda, kto wie, proszę zadzwonić jutro, jest pani w o tyle komfortowej sytuacji, że...”.

Nie. Osoba, która od ośmiu lat nie może zakończyć żałoby po rodzicu i godnie go pochować, nie jest w komfortowej sytuacji. Brak empatii ze strony osób na najwyższych stanowiskach przekłada się na postawę każdego z nas.

Para prezydencka, parlamentarzyści, dyplomaci, dowódcy sił zbrojnych, słowem: kwiat polskiej inteligencji, mężowie narodu. Oglądaliśmy ich w telewizji, śledziliśmy ich pracę społeczną, – to oni zginęli w katastrofie smoleńskiej. Ale również: mężowie, żony, ojcowie, przyjaciele, krewni.

Wspominają...wspominamy...

Nie zostanie już pilotem, żoną, matką.



Justyna Moniuszko

Pozostała po niej cisza

Co innego można powiedzieć o dziewczynie, która dopiero zaczynała życie? Że była pogodna, śliczna i pełna marzeń. Że wszystko jeszcze miała przed sobą. Matka już zamówiła w kościele mszę dziękczynną w jej intencji. Ale po 10. kwietnia musiała iść do kościoła jeszcze raz i zmienić – na taką za duszę Justyny. Brat Justyny, młody naukowiec pracujący nad doktoratem w Holandii, napisał bezradnie na swoim blogu: *„Nie życzę najgorszemu wrogowi przeżywania czegoś podobnego. Czuję się ułomny. Śmialiśmy się, że razem stanowimy kompletną osobę z właściwą dawką energii i radości wnoszonej przez nią oraz ostrożności i powolności, których ja mam w nadmiarze. Teraz pozostała tylko połowa tej osoby”*.

Latanie było jej pasją. Justyna Moniuszko była stewardesą 36. Specjalnego Pułku Lotnictwa Transportowego, wcześniej pracowała w LOT. Już jako nastolatka zgłosiła się do Aeroklubu Białostockiego, już po obozie harcerskim, na którym po raz pierwszy spróbowała skoków. Potem zrobiła też kurs pilota szybowcowego. – Ten sport weryfikuje bardzo szybko, kto naprawdę jest zainteresowany. Nie trzeba się wykazywać specjalnym talentem, ale trzeba mieć determinację i odwagę. Boi się prawie każdy, chodzi o to, żeby pokonać ten strach i jeżeli ktoś jest w stanie i zostaje na dłużej, wtedy można powiedzieć, że ma talent – mówi Jerzy Płonowski, szef sekcji spadochronowej Aeroklubu Białostockiego. Justyna wykonała 250 skoków, w tym grupowe powietrzne ewolucje. – Skoki grupowe to kolejna weryfikacja. Tu podstawą jest zaufanie. Jak ktoś szarżuje albo nie można na nim polegać, to się z nim nie ryzykuje, nie skacze się z nim. Z Justyną koledzy chcieli latać, to znaczy, że była dobra. Takie przeżycia wiążą, a z nią młodzież chciała przebywać, wyraźnie lubili ją jako osobę i jako spadochroniarzkę.

– Tyle miała pasji i planów. Chciała założyć szkołę spadochronową – mówi matka Justyny. Oboje z mężem obawiali się jednak tych jej szaleństw w powietrzu. – Przez trzy lata tylko o tym słuchaliśmy, nie poszliśmy na lotnisko. W końcu się uparła i pojechaliśmy. Ten widok, jak leciutko wylądowała ze spadochronem, nas uspokoił. Jeszcze bardziej ich uspokoiła praca córki w 36. Specjalnym Pułku Lotnictwa Transportowego. Gdzie miała być bezpieczniejsza niż przy lotach najważniejszych osób w państwie?



Zdobyła tytuł Miss Politechniki Warszawskiej

Uroda – kolejny atut Justyny, też często podkreślany w rozmowach o niej.

Jerzy Płonowski: – Wspominamy Justynę razem z naszymi kolegami, którzy też zginęli w wypadkach. Na Wszystkich Świętych i w Dzień Spadochroniarza odwiedzamy ich groby i zapalamy znicze. Nie ma dla nas znaczenia, jak zginęli – podczas skoku, w wypadku samochodowym czy w katastrofie lotniczej. Jest to równie tragiczne. Nie ma lepszej i gorszej śmierci, bohaterowie powinni żyć.



Teresa Walewska-Przyjałkowska

Miała ulubioną modlitwę – tę do Matki Boskiej: „*Pod Twoją obronę*”. W czasie powstania mama wszyła jej w kołnierz ubrania karteczkę ze słowami tej modlitwy. Wtedy czuła się bezpieczna. Była przekonana, że to modlitwa wielokrotnie uratowała jej życie. Pokazała mi kiedyś tę pożąłką karteczkę, schowaną w książce razem z obrazkiem Matki Boskiej.

Panią Walewską-Przyjałkowską poznałam pod koniec lat 90. w mieszkaniu Księdza Prałata Zdzisława Jastrzębiec Peszkowskiego. Ksiądz Prałat to harcerz, uczestnik kampanii wrześniowej z 1939 r., jeniec Kozielska, żołnierz armii generała Andersa, Naczelnny Kapelan Związku Harcerstwa Polskiego poza Granicami Kraju, kapelan Rodzin Katyńskich i wielki patriota.



Jego mieszkanie było miejscem spotkań ludzi z całego świata, ceniących działalność Księdza Prałata i tych, którzy chcieli Go poznać. Wszystkich łączyła osoba Księdza i jeden temat – Katyń oraz wspólne działania na rzecz Prawdy i Pamięci o Katyńskiej Zbrodni. Pani Teresa przyszła prosić Księdza o pomoc w odnalezieniu śladów obrazu Matki Boskiej Zwycięskiej, namalowanego przez por. Michała Siemiradzkiego w sowieckim obozie jenieckim w Kozielsku w 1940 r.

Pani Teresa była prezesem Stowarzyszenia Krzewienia Kultu Świętego Andrzeja Boboli, zajmowała się organizowaniem pielgrzymek do miejsc działalności Świętego Andrzeja na terenie Polski, Litwy i Białorusi. Opowiadała uczestnikom o wielkim patriotyzmie, łączącym kolejne pokolenia Polaków, dla których wzorem był św. Andrzej. Łączyła w jeden historyczno-religijny wątek męczeństwo Świętego Andrzeja z męczeńską śmiercią polskich oficerów w Katyniu. Zdaniem warszawskich oo. jezuitów, a także Pani Teresy, było to niezwykle ważne dla dalszego rozwoju kultu św. Andrzeja.

Ojcowie jezuici wiedzieli, że w Londynie w polskim kościele pw. Św. Andrzeja Boboli znajduje się płaskorzeźba Matki Boskiej Zwycięskiej, która także powstała w Kozielsku, wykonana przez por. Zielińskiego. Na podstawie informacji, że w obozie powstał jeszcze jeden obraz, wykonany z drugiej połowy deski, namalowany przez por. Michała Siemiradzkiego, Pani Teresa podjęła się odnalezienia obrazu, o którym wiedziała, że znajduje się w prywatnych rękach byłego oficera z armii gen. W. Andersa.

Dołączyła do grona współpracowników Księdza Prałata. Darzyła Go wielkim szacunkiem, ogromnie podziwiała Jego oddanie sprawie Katynia i wieloletnie starania o upowszechnianie Pamięci i Prawdy o Katyńskiej Zbrodni. Rozpoczęła poszukiwania w Londynie. Wkrótce odkryła, że ślady prowadzą na warszawską Starówkę do mieszkania Księdza Prałata, który otaczał obraz czcią, codzienną modlitwą i troską od sierpnia 1977 roku. Pamiętam Jej wielkie wzruszenie i łzy radości na widok obrazu.

Ksiądz po długich przemyśleniach podjął decyzję o przekazaniu obrazu. W 2002 roku, odbyła się intronizacja Obrazu Matki Boskiej Kozielskiej w Sanktuarium św. Andrzeja Boboli.

Rozpoczęła promowanie kandydatury Księdza do Pokojowej Nagrody Nobla. Ksiądz początkowo bardzo niechętny, dał się przekonać, że będzie to doskonała okazja do głośnego mówienia o Katyniu, do przypomnienia Polsce i światu, że ta zbrodnia wydarzyła się naprawdę, że dotąd nie została nazwana ludobójstwem i że nie ukarano jej sprawców.

26. stycznia 2006 roku, Sejm RP przez aklamację przyjął uchwałę, popierającą kandydaturę Księdza.

Za zgodą Księdza i w Jego imieniu, w 2006 r. przygotowała Międzynarodową Konferencję Katyńską „Prawda, Pamięć, Tożsamość Katynia i Golgoty Wschodu”, która odbyła się pod patronatem Marszałka Sejmu Marka Jurka w Sali Kolumnowej Sejmu RP. W konferencji wzięło udział wielu znakomitych prelegentów z kraju i zagranicy. Ksiądz Prałat ocenił ją pozytywnie i ustalił, że takie konferencje będziemy organizować co 3 lata. Następną konferencję, już po śmierci Księdza Prałata, Pani Teresa zorganizowała w grudniu 2009 r. w Galerii Porczyńskich. Konferencja ta została powtórzona w marcu 2010 r. na Jasnej Górze, kilkanaście dni przed katastrofą smoleńską. Po śmierci Księdza Prałata w październiku 2007 r., Pani Teresa podjęła się prowadzić fundację, przyjęła tytuł wiceprezesa. Dla Fundacji „Golgota Wschodu” nastały trudne czasy, przede wszystkim trzeba było jak najszybciej znaleźć nową siedzibę. Pani Teresa zwróciła się z prośbą o pomoc do wieloletniego przyjaciela Księdza Prałata – Pana Ryszarda Kaczorowskiego, Ostatniego Prezydenta II Rzeczypospolitej, który jeszcze wiele razy wspierał fundację dobrą radą i pomocą. Pamiętam Jej wielką akcję, kiedy na Świętym Krzyżu lokalne plany przebudowy zagroziły przesunięciem postawionych tam z inicjatywy Księdza Prałata, trzech Krzyży Katyńskich. Ojcowie z klasztoru Świętego Krzyża prosili fundację o pomoc. Teresa zwróciła się o wsparcie do Pana Prezydenta Kaczorowskiego i... władze samorządowe ustąpiły. Krzyże stoją, nie przesunięto ich, zmieniono plany zagospodarowania terenu i kompleks turystyczno-gastronomiczny wybudowano w innym miejscu! W kilka lat później na Świętym Krzyżu ojcowie wmurowali w bocznej kaplicy trzy tablice epitafijne poświęcone osobom zasłużonym dla klasztoru – ofiarom katastrofy smoleńskiej. Jedna z tablic jest poświęcona Teresie.

Wspólna praca bardzo nas do siebie zbliżyła, dużo rozmawialiśmy nie tylko o fundacji, czasem wspominaliśmy różne epizody z własnego życia. Opowiadała o swoim przedwcześnie zmarłym mężu Andrzeju, o swojej pracy naukowej, o studentach i ich zaliczeniach – jednym z jej studentów był późniejszy premier RP, zaliczył wszystkie potrzebne egzaminy, choć nie od razu.

Zabrała ze sobą katyńską stulę ks. Peszkowskiego – miała ją użyczyć ks. biskupowi w czasie sprawowania mszy św. w Katyniu. W maju 2010 roku, wśród rzeczy zwróconych przez Rosjan była stula. Odebrałam ją niezniszczoną.

Pani Teresa miała w domu na Mokotowie wiele rodzinnych pamiątek. Jej mieszkanie przypominało raczej archiwum lub muzealny magazyn. Było tam mnóstwo książek, obrazów, notatek, płyt i różnych dokumentów.

Kiedy w kwietniu 2010 r., dowiedziała się, że jest dla Niej miejsce w samolocie do Smoleńska, wpadła w euforię. Ten wyjazd stał się Jej wielkim marzeniem. Wspólny lot z Panem Prezydentem Lechem Kaczyńskim, z Panem Ryszardem Kaczorowskim oraz pozostałymi członkami delegacji to był dla niej wielki zaszczyt. Kilkanaście godzin, najważniejszych – jak wtedy mówiła – w jej życiu, traktowała jak ogromne wyróżnienie za Jej pracę dla Księdza w naszej fundacji...



Teresa Walewska-Przyjałkowska została pochowana w grobie rodzinnym na warszawskich Powązkach.
Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie... i wieczną miłość... i wieczną radość...



ANDRZEJ GAJCY *dziennikarz i publicysta Onetu*

Nigdy przez myśl mi nie przeszło, że będę tym dziennikarzem, któremu przyjdzie nadać pilną depeszę PAP o tragicznej śmierci prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i Pierwszej Damy wraz z elitą narodu polskiego. Tak, płakałem, gdy witałem trumnę Kaczyńskiego i Kaczyńskiej na płycie wojskowego lotniska na warszawskim Okęciu. Łzy po prostu same popłynęły mi z oczu i to nie tylko ten jeden raz... W pracy dziennikarza zdarzają się newsy, które odbijają się echem nie tylko w kraju, ale i za granicą, doprowadzając niekiedy do upadku rządu, do dymisji polityków, czy do wszczęcia śledztw prokuratorskich. Są wydarzenia, które jak śmierć papieża Polaka Jana Pawła II czy zamach na World Trade Center pamięta się do końca życia. Tak właśnie jest z porankiem 10. kwietnia 2010 roku, kiedy to, co nigdy nawet w najgorszych snach nie miało prawa się wydarzyć tj. katastrofa prezydenckiego samolotu, stało się realnym koszmarem i bolesną rzeczywistością. Ten dzień zmienił nas wszystkich...

To miał być spokojny sobotni poranek. Gdy o godzinie 8 rano, rozpoczynałem dyżur redakcyjny w Polskiej Agencji Prasowej przez myśl mi nie przyszło, że potrwa on kilkanaście długich i tragicznych dni, które przejdą na zawsze do historii. W kalendarium wydarzeń na ten setny dzień roku kalendarzowego widniały uroczystości związane z 70. rocznicą Zbrodni Katyńskiej, wokół których skupić się miały przedpołudniowe depesze agencyjne. Szybkie planowanie w newsroomie z wydawcami i telefon do redakcyjnego kolegi Krzysztofa Strzępki, który z samego rana udał się rządowym samolotem JAK-40 do Smoleńska, by relacjonować uroczystości państwowe. Czekał on już wraz z innymi dziennikarzami na cmentarzu w Lesie Katyńskim.

To była krótka, ale dość koleżeńska rozmowa, która zupełnie niczego nadzwyczajnego nie zapowiadała. Stacje telewizyjne na żywo pokazywały relacje z ostatnich przygotowań na cmentarzu w Katyniu; światowe agencje także wyjątkowo spokojnie rozpoczęły dzień.

W oczekiwaniu na przylot prezydenckiej delegacji do Smoleńska raz jeszcze przeglądałem czekającą do nadania depeszę na rozpoczęcie wizyty prezydenta w Rosji. Taka depesza zawsze była publikowana w serwisie w momencie, gdy prezydent lądował na lotnisku. Na ekranie w adjustacji czekał także tekst na rozpoczęcie uroczystości w Lesie Katyńskim. Teksty te, jak się chwilę później okazało nigdy nie miały zostać opublikowane. Dramat zaczął się tuż przed godziną 9., kiedy pojawiły się pierwsze nieoficjalne informacje o problemach z lądowaniem polskiego Tu-154 M. Pierwszą reakcją był natychmiastowy telefon do naszego korespondenta, który błyskawicznie próbował potwierdzić lub zdementować te informacje. Następnie telefon do MSZ i Kancelarii Prezydenta. Nikt jednak nie odbierał. Początkowe informacje mówiły o incydencie przy lądowaniu i problemach z pogodą. Wszystkie te relacje były podawane ostrożnie, gdyż nikt nie dysponował wiarygodnymi informacjami potwierdzonymi przez służby.

Z lotniska napływały sprzeczne informacje. Telefony w MSZ wciąż milczały. Pamiętam, że bez zastanowienia wykonałem telefon do najbliższych współpracowników Lecha Kaczyńskiego: Pawła Wypycha, Mariusza Handzlika, czy Władysława Stasiaka – którego telefon, jako jedyny z tej trójki ministrów w Kancelarii Prezydenta był włączony, lecz nie odpowiadał. Potem się okazało, że wszyscy zginęli w katastrofie.

Informacja dziennikarza Wiktora Batera z Polsat News, który (jako pierwszy podał informację o rozbiciu się prezydenckiego samolotu) wraz z innymi dziennikarzami czekał w Katyniu na przyjazd polskiej delegacji była jak grom z jasnego nieba.

To, co wówczas usłyszał, zwiastowało najgorsze: „Wiktor, prezydent nie przyleci. Samolot się rozbił. Ja nie żartuję. Ja nie żartuję”. Dziennikarz szybko potwierdził tę informację u funkcjonariusza BOR, którego poznał dzień wcześniej. Staliśmy przez chwilę w kilka osób i z niedowierzaniem patrzyliśmy w ekrany monitorów, mówiąc do siebie po cichu, że to nie mogło się wydarzyć. Nie miało po prostu prawa. Wiedzieliśmy, że stało się coś strasznego. Choć wciąż spływały sprzeczne informacje, jak nadana błędnie depesza Informacyjnej Agencji Radiowej o przylocie prezydenta Lecha Kaczyńskiego do Smoleńska. Pozostawała nadzieja, że jednak ktoś przeżył. Szybko jednak gasła ona niemal z minuty na minutę.

Kolejne telefony i próby ustalenia tego, co się stało kończyły się fiaskiem. Jednak rozmowę z ówczesnym rzecznikiem MSZ Piotrem Paszkowskim zapamiętam do końca życia. Pierwsze jego słowa brzmiały mniej więcej tak: – „*Panie Andrzeju wygląda to bardzo źle. Potwierdzam, że samolot z prezydentem Lechem Kaczyńskim rozbił się na lotnisku w Smoleńsku. Przy podchodzeniu do lądowania samolot najprawdopodobniej zahaczył o drzewo. Pożar jest już ugaszony*” – mówił przejmującym głosem Paszkowski. Pamiętam, że zapytałem go, czy ktoś przeżył katastrofę. Paszkowski nie wiedział. Przekazał jednak informację, że słyszał o trzech żywych osobach, które miały zostać odnalezione przez służby ratunkowe i przetransportowane karetkami do szpitali. Pisałem depesze i nie mogłem uwierzyć w to co za chwilę opublikuję. I jedno pytanie, które wciąż chodziło po głowie: jak to się mogło stać? To było tak nieprawdopodobne, że nie mogło być prawdziwe.

O godzinie 9:30 w serwisie PAP nadano depeszę, która potwierdzała najgorszy scenariusz: 2010-04-10 09:30 Rozbił się prezydencki samolot (krótka).

10.04. Warszawa (PAP) – *Samolot z prezydentem Lechem Kaczyńskim na pokładzie rozbił się, podchodząc do lądowania na lotnisku w Smoleńsku* – powiedział PAP rzecznik MSZ Piotr Paszkowski. *Nie wiadomo czy ktoś ucierpiał. Wygląda to bardzo źle* – powiedział rzecznik MSZ.

„*Przy podchodzeniu do lądowania samolot najprawdopodobniej zahaczył o drzewo. Pożar jest już ugaszony*” – powiedział PAP Paszkowski (PAP). Po kilku minutach kolejny telefon do Piotra Paszkowskiego, który natychmiast odebrał i polecił jak najszybciej udać się do MSZ, gdzie powstaje sztab kryzysowy. Poprosiłem także o pełną listę pasażerów prezydenckiego samolotu. Wciąż nie było odpowiedzi na pytanie, czy prezydent Lech Kaczyński przeżył. Drogę do budynku MSZ w Alei Szucha pokonałem w zasadzie pieszo z telefonem przy uchu, wykonując i odbierając kolejne połączenia także od członków własnej rodziny, którzy byli przekonani, że poleciałem tego dnia do Smoleńska. Około godziny 10. w kolejnej rozmowie z rzecznikiem MSZ padło zdanie, które chwilę później obiegiło cały kraj, a także zachodnie agencje. – *Panie Andrzeju najprawdopodobniej nikt nie przeżył katastrofy* – powiedział do słuchawki Piotr Paszkowski. Pamiętam, że pytałem rzecznika MSZ czy jest pewien i czy znaleziono ciała pary prezydenckiej. Wówczas jeszcze nie było takiej informacji.

Po tej rozmowie szybki telefon do newsroomu i wydawcy. To była krótka rozmowa w stylu: Janku dawaj pilną: najprawdopodobniej nikt nie przeżył katastrofy; potwierdza Paszkowski. O godzinie 10:08 pojawiła się oto taka PILNA depesza PAP:

2010-04-10 10:08 ***PILNA***Najprawdopodobniej nikt nie przeżył katastrofy prezydenckiego samolotu – rzecznik MSZ. Dochodząc do budynku MSZ nie wierzyłem do końca w to, co się dzieje. Przed siedzibą resortu stało już kilku dziennikarzy, czekając na wyjście Piotra Paszkowskiego. Kolejny jego telefon zapamiętam do końca życia: *Panie Andrzeju prezydent Lech Kaczyński wraz żoną nie żyją. Dopytywałem czy jest pewien tej informacji, która za chwilę obiegnie cały świat. Odpowiedział mi, że wszystko na to wskazuje.* Po chwili kolejny telefon do redakcji i dyktowanie kolejnej już tego dnia PILNEJ:

2010-04-10 10:36 ***PILNA***Wszystko wskazuje na to, że prezydencka para nie żyje – rzecznik MSZ (PAP). Pamiętam, że po tym telefonie usiadłem na murku pod ministerstwem spraw zagranicznych. Po chwili wykonałem telefon do żony mówiąc, że prezydent zginął wraz z Pierwszą Damą i prawdopodobnie z całą delegacją. Po kilku minutach do dziennikarzy wyszedł Piotr Paszkowski, który przekazał nam kopię listy pasażerów, którą z lotniska na Okęciu służby przefaksowały do MSZ. Widniało na niej 87 nazwisk pasażerów prezydenckiego Tu-154M; bez członków załogi. Przy jednej z osób widniała adnotacja, że nie stawiała się do odprawy.

Wszyscy zaczęliśmy czytać na głos nazwiska, które widniały na liście. Czytając je, każdy z nas dopiero zdał sobie sprawę, że większość z tych ludzi w jakiś sposób znaliśmy, że dzień wcześniej z niektórymi z nich jeszcze rozmawialiśmy. Pamiętam, jak do stojących wówczas dziennikarzy podeszła kobieta z mężczyzną pytając nas, czy wiemy, kto był na pokładzie samolotu, który rozbił się w Smoleńsku. Powiedzieli, że są rodzicami tłumacza, który miał tego dnia towarzyszyć prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu. Podali imię i nazwisko, które było na liście. Wiedzieliśmy co to oznacza.

Tak trudnych i wzruszających chwil, na które nikt nie jest nigdy gotowy było znacznie więcej. Kolejne godziny i dni to opis największej tragedii narodowej, jaka w ostatnich latach miała miejsce.

To także czas ciągłej pracy i relacjonowania wszystkich wydarzeń związanych z żałobą narodową po śmierci prezydenta i pozostałych 95 osób. Tłumy osób przed Pałacem Prezydenckim, które przyszły złożyć hołd wszystkim ofiarom katastrofy to widok, którego nie da się zapomnieć.

Podobnie jak chwili, gdy samolot z trumną prezydenta Lecha Kaczyńskiego wylądował na płycie wojkowego lotniska na warszawskim Okęciu. Trudno słowami opisać atmosferę tego wydarzenia, którą niektórzy próbowali zakłócić rozpowszechnianiem plotki o nagłej śmierci Jadwigi Kaczyńskiej – matki Lecha i Jarosława Kaczyńskich. Powstawały kolejne depesze agencyjne, jak choćby ta o wejściu w polską przestrzeń powietrzną samolotu z ciałem polskiego prezydenta. Gdy wynoszono z samolotu trumnę łączyły same popłynęły mi z oczu. Zresztą nie tylko ten jedyny raz. Byłem na płycie lotniska za każdym razem, gdy kolejne trumny z ciałami ofiar katastrofy pod Smoleńskiem, w tym Pierwszej Damy Marii Kaczyńskiej, przylatywały do Polski. Widok rodzin, tych którzy tragicznie zginęli: ojców, matek, dzieci trudno do dziś zapomnieć. Z wieloma z nich spotykałem się kilka dni później na pogrzebach, które także przyszło mi relacjonować dla PAP. Bywały dni, gdy uczestniczyłem w dwóch lub trzech pogrzebach dziennie. Wówczas łączyły także się pojawiały. Tak, zdarzało mi się płakać...

Widziałem, jak Tusk płakał



Kamil Dziubka dziennikarz Onetu

Są takie obrazy, które zostają w głowie do końca życia, od których człowiek nie jest w stanie się uwolnić, bo wryły się tak głęboko w świadomość. Dzieje się tak, bo wiążą się z silnymi emocjami, które sprawiają, że te obrazy stają się nieodłączną częścią świadomości. Niczym blizna. Tatuaż. Każdy pamięta, co robił wtedy, gdy dwa samoloty wbiły się w nowojorskie wieże World Trade Center. Tak jest też z katastrofą smoleńską.

Z 10. kwietnia 2010 roku i kolejnymi dniami łączą mnie szczególne wspomnienia. Byłem wtedy reporterem Wiadomości TVP1. Spora część redakcji w tę pamiętną sobotę była w Katyniu, bo telewizja postanowiła rzucić do Rosji ogromne siły. Ale nie mogło być inaczej, bo tamta rocznica miała być niezwykła. 7. kwietnia Katyń odwiedził premier Donald Tusk, który spotkał się tam z ówczesnym szefem rosyjskiego rządu Władimirem Putinem. Trzy dni później na miejsce zmierzał prezydent Lech Kaczyński.

– Kamilku, oglądasz? – słyszę w słuchawce roztrzęsiony głos mojej mamy. – Kaczyński nie żyje – udało się jej powiedzieć, zanim wybuchnęła płaczem. Pamiętam dokładnie kłębowisko myśli, jakie zaczęły się kotłować w mojej głowie. Ale nie zdążyłem wygrzebać z tego bałaganu choćby jednej sensownej odpowiedzi na pytanie, co mogło się stać, bo mama nie pozostawiła złudzeń: – Samolot się rozbił, wszyscy zginęli.

Nie miałem tego dnia pracować, byłem w drodze na wesele pod Warszawą. Dosłownie minutę po telefonie od mamy na wyświetlaczu pokazał się numer wydawczyni Wiadomości Joli Łopuszyńskiej. – Natychmiast przyjeżdżaj, to polecenie służbowe Jacka (Karnowskiego, ówczesnego szefa redakcji). Oczywiście nikomu żadne polecenia służbowe nie były potrzebne. Było jasne, że wszystkie plany właśnie się zdezaktualizowały. Jak gazety, które ukazały się w tamtą sobotę (rozpakowaliśmy je w Wiadomościach chyba dopiero po miesiącu). Każdy dziennikarz wiedział, że innego tematu nie ma. Na marginesie... Pamiętam, że właśnie wtedy odbywała się kolejna edycja rejsu dziennikarskiego. Tamtego roku grupa koleżanek i kolegów wyjechała do Egiptu w podróż wzdłuż Nilu. Po informacji o katastrofie, wielu zastanawianych się, podjęto decyzję o natychmiastowym powrocie do Polski.

„Żyjesz?” – SMS o takiej treści wysłał mi znajomy. Uświadomiłem sobie wtedy, że przecież mogłem lecieć tym samolotem, jak wiele razy wcześniej. Dziennikarze prawie zawsze towarzyszyli VIP-om w oficjalnych delegacjach. Ja sam na pokładzie tupolewa gościłem kilkadziesiąt razy. W ostatniej chwili Kancelaria Prezydenta zdecydowała, że dziennikarze polecą mniejszą maszyną Jak-40, bo delegacja jest tak duża, że na pokładzie Tu-154M przedstawiciele mediów po prostu się nie zmieszczą. Jednak krótko po katastrofie nie byłem tego świadom, dlatego przez kilkadziesiąt minut próbowałem ustalić, kto „od nas” mógł być pasażerem tego tragicznego lotu. Okazało się, że nikt. Pojechałem do redakcji, z której wyszedłem właściwie dopiero tydzień później – po pogrzebie pary prezydenckiej. Z tych dni zawsze stają mi przed oczami kilka obrazów, które wtedy po prostu mną wstrząsnęły. Tym najważniejszym był widok Jarosława Kaczyńskiego, który w niedzielę, 11. kwietnia klękał na płycie warszawskiego lotniska przed trumną swojego tragicznie zmarłego brata. Oglądaliśmy to całą redakcją na monitorze.

Wielu z nas najzwyczajniej w świecie – w tym ja sam – zanosilo się płaczem.

Kilka godzin wcześniej Piotr Kraśko, który był wtedy w Smoleńsku, opisywał na żywo w jednym z porannych wydań Wiadomości, jak na tamtejszym lotnisku żegnano trumnę z ciałem prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Mówił o tym, jak trumna została przeniesiona do polskiego wojskowego samolotu na barkach polskich żołnierzy. Piotrek był kompletnie rozbity...

Pamiętam, że dzień po katastrofie przed Sejmem parlamentarzyści zebrali się, żeby uczcić pamięć tych, którzy zginęli. Były portrety ofiar, kwiaty, znicze. Zawyły syreny. Byłem tam jak setki ludzi. Operator kamery, który mi wtedy towarzyszył, powiedział nagle do mnie: – *Patrz na Tuska*. Spojrzałem. Szef polskiego rządu po prostu płakał jak dziecko. Mój operator chyba chciał to nakręcić, bo włożył sobie kamerę na ramię i wycelował obiektyw w stronę Donalda Tuska. – Nie kręć – powiedziałem. Właściwie nie wiem dziś dlaczego. Wiem jedno – nie zapomnę tej sceny do końca życia.

Tak jak nie zapomnę tego, co zobaczyłem w Pałacu Prezydenckim kilka dni później. Trumny z ciałami pary prezydenckiej były wystawione w jednej z sal budynku, każdy mógł przyjść i się pokłonić. W kolejce na Krakowskim Przedmieściu stały tysiące ludzi. Niektórzy czekali po kilkanaście godzin. Byli jednak i tacy, którzy mogli wejść do środka, pomijając tę gigantyczną kolejkę. Taki gest wykonano w naszą stronę – redakcji Wiadomości. Poszliśmy grupą ok. 20 osób. Wejście było możliwe od ul. Karowej, gdzie znajduje się Biuro Bezpieczeństwa Narodowego połączone z Pałacem Prezydenckim podziemnym korytarzem.

Kiedy wchodziliśmy do BBN, nadjechała kolumna karawanów. W nich – jak się domyślaliśmy – przywieziono trumny z ciałami pracowników Kancelarii Prezydenta. Weszliśmy do środka. Mimo iż wcześniej kazano nam wysłać listę osób, nikt nie sprawdził naszej tożsamości, nikt nie wykonał kontroli pirotechnicznej. Normalnie – nie do pomyślenia. Ale wtedy było inaczej. I nie czynię z tego nikomu zarzutu. Tak po prostu było. Szliśmy długim korytarzem w stronę Pałacu Prezydenckiego. Nagle okazało się, że trumny z ciałami ministrów i pracowników kancelarii wystawiono właśnie w tym korytarzu... Przed nimi na ławkach siedzieli bliscy tych ludzi. Za ich plecami „przewalał się” tłum ludzi zmierzający w stronę sali, gdzie można było oddać hołd prezydentowi. Miałem wrażenie, że odzieramy rodziny ofiar z intymności. Wrażenie stało się jeszcze bardziej dojmujące, gdy mały, może 3-letni chłopczyk siedzący na jednej z ławek, podszedł do trumny z ciałem – jak się domyślałem – swojego taty i ją ucałował...

Szczególnie zapamiętałem jeszcze jedną scenę. W tygodniu pomiędzy katastrofą a pogrzebem pary prezydenckiej na Wawelu robiłem materiał o przygotowaniach do ceremonii. Potrzebowałem wypowiedzi ze strony Kancelarii Prezydenta. Zadzwoiłem więc do ówczesnego ministra w tejże kancelarii Andrzeja Dudy. Pojechałem na ul. Wiejską, gdzie znajduje się urząd. Nagrałem z nim krótką rozmowę. Poza kamerą spytałem ministra o to, jak możliwa jest praca po stracie tak wielu bliskich osób. W końcu pożegnaliśmy się. Wracam do redakcji. Nagle telefon. Dzwoni Andrzej Duda: – Daleko jesteście? Bo chciałem wam coś pokazać.

Wróciliśmy. – Nikt tego jeszcze nie widział, możecie zrobić zdjęcia – powiedział minister. Weszliśmy do gmachu kancelarii. Duda poprowadził nas długim korytarzem na jednym z pięter. Okazało się, że przed gabinetami prezydenckich ministrów płonęły znicze. Widok był absolutnie niezwykły. – Na razie nie mamy odwagi otworzyć tych drzwi i wejść do środka – powiedział mi wtedy przysły prezydent.

Tragedia narodowej zgody

Rankiem 10 kwietnia wylądowałam na lotnisku w Balicach. Około północy zamknęliśmy numer Przekroju. Na okładce piękne zdjęcie Marilyn Monroe, w środku artykuł o niej, o tym, co to znaczy być ikoną popkultury, o ludziach, których życie stało się mitem – pisze szefowa działu kultury Onetu Janowska.



Katarzyna Janowska redaktor naczelna działu Kultura

Do kin wchodził film o Marilyn Monroe. Właśnie ruszała aukcja jej zdjęć. Poza tym dużo tekstów o kobietach, ich roli we współczesnym świecie. Ładny, wiosenny numer. Włączyłam TVP, Krzysztof Ziemięć informował, że w Katyniu rozpoczęły się uroczystości z udziałem prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Na zdjęciach prezydent składa wieńce pod pomnikiem polskich oficerów zamordowanych w Katyniu. Wyszłam na spacer z psem. Parę minut później dzwoni Grzegorz Hajdarowicz, ówczesny wydawca i właściciel Przekroju i mówi, że w Smoleńsku rozbił się samolot prezydencki. Zginął pan prezydent, jego żona i wszyscy towarzyszący im politycy i wojskowi. Nie rozumiem. Przecież przed chwilą widziałam prezydenta Kaczyńskiego składającego wieńce w Katyniu. Musimy to potwierdzić. To niemożliwe. Po chwili rozzdzwaniają się telefony. To prawda. Wracam do Warszawy. Wycofujemy numer z drukarni. Reporterzy piszą wspomnienia o politykach, którzy zginęli. Piotr Najsztub robi wywiad z Jackiem Hołówką, który powie między innymi, że naszym wrogiem jest polskie bałaganiarstwo, pieniactwo, kłótnie o nic. Dodaje: Nawet tak tragiczne wypadki należy wykorzystać do udoskonalenia życia społecznego. Bo inaczej te śmierci pójdą na marne.

Prof. Andrzej Zoll w rozmowie ze mną mówi m.in.: Są wydarzenia w życiu narodu, które odciskają się na jego historii, mentalności, obyczajach. Ta tragedia na pewno do takich należy... Przeżyjmy żałobę godnie. Wyciszmy się. Odprawmy rekolekcje. Będziemy tę stratę odczuwać zawsze, ale musimy pójść dalej. Całe popołudnie i wieczór zbieramy komentarze, piszemy teksty i jednocześnie cały czas dyskutujemy o tym, co ma być na okładce. Zdjęcie pary prezydenckiej? Ale przecież zginęło 96 osób. Flaga z czarnym kirem? Portrety wszystkich ofiar katastrofy? W końcu zapada decyzja: okładka będzie czarna z małym napisem „*Smoleńsk 2010*”. O trzeciej nad ranem przeglądamy wydrukowane makiety stron, sprawdzamy zdjęcia, podpisy, poprawiamy tytuły. Jest wydruk okładki. Moi zastępcy proponują, żeby dodać napis „*Katyń 1940*”. Przymierzamy tę wersję. Nie jestem pewna. Pytam, co chcemy przez to zestawienie powiedzieć? Współpracownicy przekonują, że to mocniejsze, bardziej wymowne. Pokazuje tragizm polskiej historii. Ofiary katastrofy jechały oddać hołd ofiarom mordu katyńskiego. Waham się. Może mają rację? Może to jest właśnie istota „*Bożego igrzyska*” jak pisał o polskiej historii Norman Davies? Numer poszedł do druku. Na dwa dni zapada żałobna zaduma. Przed Pałacem Prezydenckim tłumy oplakujące zmarłych, tysiące świec, kwiaty. Ludzie chcą być razem, chcą współodczuwać. Nie ma podziałów ani przepychanek politycznych. Skupienie i żałobna cisza pęka z chwilą, kiedy pojawia się pomysł pochowania pary prezydenckiej w krypcie zasłużonych na Wawelu. Od tej chwili pogrzeb staje się sprawą polityczną, a Polska nie wróci już do tamtej wspólnotowości. Politycy biegają od stacji do stacji i kłócą się o pogrzeb. Ksiądz kardynał Dziwisz, któremu przypisuje się autorstwo pomysłu pochówku na Wawelu, na konferencji prasowej mówi: *Śmierć bohaterska nie powinna nas dzielić. Ona powinna łączyć. Uruchamia się romantyczny kult bohaterów, którzy powoli zajmują w wyobraźni części społeczeństwa miejsce ofiar katastrofy.*

Kiedy ukazał się „Przekrój” z czarną okładką i napisem: *Katyń 1940-Smoleńsk 2010*, zadzwonił do mnie prof. Jerzy Jedlicki, historyk idei, były opozycjonista, mądry i życzliwy człowiek i powiedział, że popełniłam błąd, zrównując Katyń ze Smoleńskiem, że tych tragedii nie można zestawiać, że to zupełnie inne wydarzenia i że takie myślenie może być zarzewiem politycznego konfliktu. O przenikliwości argumentacji prof. Jedlickiego przekonałam się, kiedy pojawiły się teorie o zamachu w Smoleńsku. Politycy prawej strony, na czele z Antonim Macierewiczem, podsycają przez lata tę wiarę, podsuwają obraz ziemi, która nasiąkła krwią polskich bohaterów, którzy oddali życie za ojczyznę. Wypadek, tragiczny spłot zaniedbań, polskiej dezynwoltury i przekonania, że jakoś to będzie, przeistoczył się na naszych oczach w religię. Stał się potwierdzeniem historycznego fatalizmu i współczesnym spełnieniem słów Marii Janion o tym, że Polską rządzi trumny, że do Europy tak, ale z trupami, czytaj ofiarami męczeńskiej śmierci. W „Przekroju”, aby uniknąć w przyszłości gorszących pogrzebowych sporów, a wiadomo, że pogrzeb to w Polsce jeden z najważniejszych obrzędów, zaproponowaliśmy, żeby zbudować panteon dla zasłużonych Polaków. Konkurs na projekt wygrał Jakub Kubicki. Jego projekt opublikowaliśmy na okładce „Przekroju” z tytułem „*Panteon narodowej zgody*”. Budowla nigdy nie powstała. Do jej projektu nawiązują budowniczowie Świątyni Opatrzności Bożej, ale oczywiście o świeckim panteonie nie ma już mowy.

Miesięcznice smoleńskie zmieniły się w wiece polityczne... Pojawiły się wzajemne oskarżenia, agresja, demonstracje, które dla bezpieczeństwa musiały być oddzielane od siebie przez kordony policji. Wojna polsko-polska trwa w najlepsze, niszcząc wypracowane przez lata kompromisy, demokratyczne instytucje, cywilizacyjne debaty, media, wartości, na których zbudowana była nasza tożsamość.

Nie pomógł ludowy katolicyzm i romantyczne wzorce, które ujawniły się w sposobie obchodzenia żałoby. Ukwiecone krzyże, powstająca na ulicy poezja, śpiewy nie były już w stanie łączyć. Kultura, utrwalone przez pokolenia rytuały i gesty przegrały z polityką.

Trudno znaleźć dziś dziedzinę, przestrzeń, autorytety, które mogłyby się przyczynić do narodowej zgody. We wstępie do „Przekroju” z 20. kwietnia 2010 pisałam: *„Przecież oprócz tego, że żegnaliśmy polityków, urzędników, ludzi na służbie, przede wszystkim żegnaliśmy pojedyncze, niepowtarzalne, nieporównywalne z nikim osoby. Już nigdy nikt taki się nie pojawi. Na tym polega nieodwracalna klęska śmierci”*. Może taki rodzaj pamięci jest w stanie otworzyć nas na narodową zgodę? Chcę w to wierzyć.



Andrzej Stankiewicz dziennikarz Onetu

W pierwszych tygodniach po 10. kwietnia 2010 r. wydawało się, że Polacy są sobie znacznie bliżsi niż kiedykolwiek po upadku komunizmu. Na pierwszym planie były wówczas ofiary – i narodowa wspólnota. W mojej pamięci zostały takie wspomnienia: tłumy pod Pałacem Prezydenckim, pobudka w środku nocy, by rano w Archikatedrze Warszawskiej mieć szansę stanąć blisko trumien Lecha i Marii Kaczyńskich i ostatnie pożegnanie prezydenta ze stolicą – wojskowy samolot wiozący jego trumnę pod Wawel macha na pożegnanie skrzydłami.

W ten nastrój żałoby, ale i wspólnoty, wkomponowali się także politycy. – Różnili się wszyscy, tak jak oni różnili się życiorysami, poglądami, wiekiem na pokładzie tego samolotu. Ale najgłębszy sens wspólnoty, która rodzi się w chwili żałoby musi przetrwać w nas, bo wtedy i śmierć nabierze tego szczególnego, najgłębszego sensu – mówił podczas żałobnych uroczystości na placu Piłsudskiego w Warszawie ówczesny premier Donald Tusk.

Z kolei Jarosław Kaczyński, choć cierpiący i pogrążony w żałobie, poprowadził bardzo miękką kampanię, unikając gry Smoleńskiem. Nagrał nawet specjalne orędzie do Rosjan, dziękując im za oznaki współczucia po tragicznej śmierci prezydenta. Już wówczas jedno było pewne – że Smoleńsk zmieni Polskę nie do poznania. I że nad grobami ofiar albo rzeczywiście dojdzie do pojednania w trwającej już wówczas politycznej wojnie, albo też wręcz przeciwnie: katastrofa doprowadzi do brutalizacji życia publicznego w Polsce. Wygrała ta druga opcja. Po porażce w wyborach prezydenckich, Jarosław Kaczyński wypowiedział prawdziwą wojnę III RP i jej instytucjom. Zaczął kilka tygodni po przegranej udzielając poruszającego wywiadu „Gazecie Polskiej”. Opowiadał z drastycznymi szczegółami o swym wyjeździe na miejsce katastrofy i identyfikacji ciała brata. Tym wywiadem Kaczyński nakreślił nową linię politycznego podziału i wskazał swemu elektoratowi kierunek na następne lata. – *Uczynię wszystko, by wyjaśnić przyczyny katastrofy. To jest dziś dla mnie najważniejsze i osobiście, i politycznie* – mówił. – Dla mnie rola premiera Tuska i premiera Putina była w tym wypadku niejasna. *W mojej ocenie obaj nie potraktowali wizyty prezydenta Lecha Kaczyńskiego z należytym szacunkiem i starannością. Na razie nie będę tego rozwijał.* Ale rozwijał już wkrótce na łamach Newsweeka. We wrześniu 2010 r., mówił o przyczynach katastrofy w sposób, który do dziś jest linią PiS. – *Piloci zostali ewidentnie wprowadzeni w błąd. Uderzenie skrzydłem w drzewo nie miało podstawowego znaczenia dla katastrofy. Albo nie zadziałał sprzęt, albo była to forma zamachu* – stwierdził. Od tego czasu, wszystkie wypowiedzi Kaczyńskiego krążą wokół zamachu oraz zaniedbań ekipy Tuska w organizacji wizyty prezydenta. Taka też jest linia PiS, a w ramach podjętego po wyborach śledztwa pod lupą prokuratury znajdują się prominentni politycy Platformy, w tym Tusk. Abstrahując od odpowiedzialności za Smoleńsk – każda ze stron ma wersję dla swych wyznawców – to zasadnicze problemy, które wygenerowały społeczny podział, zaczęły się po katastrofie. Z jednej strony są błędy rządu Tuska, który nie dążył do powołania wspólnej, polsko-rosyjskiej komisji wyjaśniającej katastrofę lub też komisji międzynarodowej – w pierwszych dniach po katastrofie, gdy rosyjskie władze były w szoku, była na to szansa. W dodatku raczkująca w swej niezależności prokuratura – zaledwie kilka dni wcześniej oddzielona od rządu – nie przeprowadziła sekcji ofiar w Polsce. To spowodowało zamiany ciał i ich fragmentów – bo Rosjanie nieszczególnie przykładali się do identyfikacji zwłok. Ten widowiskowy błąd znajduje dziś finał w makabrycznym serialu ekshumacyjnym.

Po drugiej stronie był zespół parlamentarny Macierewicza, działający w dwóch poprzednich kadencjach Sejmu, a dziś przekształcony w podkomisję stworzoną w MON. To spektakularny przykład politycznego sukcesu – bo zespół stał się dla Macierewicza trampoliną do pierwszej ligi. Szkopuł w tym, że stało się to ogromnym kosztem społecznym: ostrym graniem na emocjach i generowaniem podziałów. Były teorie o sztucznej mgie, rozpyleniu helu nad lotniskiem, obezwładnieniu samolotu na wysokości 15 metrów, a ostatecznie stanęło na wybuchu – w ciągu ponad siedmiu lat pracy Macierewicz i jego współpracownicy ogłosili kilkanaście hipotez przyczyn katastrofy smoleńskiej.

Czasem były one groteskowe i wzajemnie ze sobą sprzeczne, ale skutecznie utrwaliły podział wokół Smoleńska. Jeszcze kilka lat po katastrofie na spotkaniach ze swymi zwolennikami Macierewicz powtarzał „z olbrzymią dozą pewności i prawdopodobieństwa”, że relacje o tym, że trzy osoby przeżyły są wiarygodne. Nikt nie pytał o dowody. Dziś, gdy PiS ma pełnię władzy, widać, że Macierewicz zabrnął tak daleko w swych teoriach, że Kaczyński nie bardzo wie, co z tym począć.

Najgorsze jest to, że w tej politycznej wojnie ofiary bardzo szybko zeszły na dalszy plan. Podczas uroczystości żałobnych w kwietniu 2010 r. Donald Tusk mówił: – „*Lista ofiar jest jak cała Polska i jak cała nasza historia. Dziś tu wiszą obok siebie zdjęcia – na przykład zdjęcie prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego i zdjęcie Natalii Januszko, tego najstarszego bohatera tragedii i tej najmłodszej. On miał lat 91, Ona lat 23.*

Prezydent Ryszard Kaczorowski to Syberia, to Monte Cassino, to dramatyczna emigracja i to sen o niepodległej Polsce, i on doczekał tej swojej, wymarzonej niepodległej Polski. A Natalia to takie szczęście młodej dziewczyny, szczęście, że żyje w wolnym kraju, i że może mieć marzenia i nadzieje na szczęście w swoim osobistym życiu”.

Dziś poza prezydentem i pierwszą damą, ofiary stały się pustą liczbą pasażerów ostatniego lotu tupolewa. Co więcej – ich rodziny od początku pozbawione intymności żałoby i zmuszone do cierpienia w świetle jupiterów, dziś płacą kolejnymi emocjami za każdy zwrot w sprawie Smoleńska. Za sensacyjne teorie przyczyn katastrofy. Za ekshumacje.

A przecież to tym, których zabrakło należy się szczególny hołd.





Paweł Janeczka

Syn zastanawiał się kiedyś, czy Pan Bóg zasypia. Bo jeśli tak, to tata mógłby na chwilę się wymknąć i przyjść do nas. Dziecko ma coś, co my zatracamy w dorosłości: zdolność do łączenia realnego świata z mistycznym wyobrażeniem, że ta druga strona jest na wyciągnięcie ręki. Dzieci wierzą, że można z nią rozmawiać. A może rzeczywiście można? – dziennikarka Joanna Racewicz wspomina męża, kapitana Pawła Janeczka.

Zanim się poznaliście, był policjantem i antyterrorystą. Później pracował w BOR. To był wymagający poświęcenia, niebezpieczny zawód.

Tak, ale zdarzało nam się obydwójgu lekceważyć zagrożenia, które towarzyszyło jego pracy. Paweł lubił żartować, że jedyne niebezpieczeństwo, jakie istnieje, to cios jajkiem albo pomidorem podczas politycznego wiecu. Nie chciał, żeby inni się o niego martwili.

To był mechanizm obronny dla niego samego czy dla was?

Pewnie jedno i drugie, choć faktycznie zależało mu głównie na chronieniu swoich bliskich. A ja do tego bagatelizowania zagrożenia przywykłam. Wiosną 2003 roku, pojechał z pierwszą grupą do Iraku. Wtedy już świetnie się znaliśmy, ale ja nie do końca zdawałam sobie sprawę z tego, jak ta misja będzie wyglądała. Dopiero dziś wszyscy wiemy więcej. Biuro Ochrony Rządu nie przygotowało wtedy swoich funkcjonariuszy na ten wyjazd tak, jak należy. Przed odlotem Paweł sam kupował sobie ubrania, buty, zaopatrywał się w kamery, noktowizory i dodatkową broń.

W pewnym momencie został szefem grupy ochronnej Lecha Kaczyńskiego. Podchodził do tego bardzo poważnie. W jednostce nie tolerował absolutnie żadnych uchybień od regulaminu. Żadnej samowolki. Podkręcał atmosferę, w kółko powtarzając, że nie wszystko może mi powiedzieć. I w zasadzie nie mówił nic. Miał certyfikat dostępu do informacji niejawnych i musiał zachowywać milczenie. Trudno zachowywać milczenie, gdy w domu ma się dziennikarkę. Byliśmy z dwóch całkiem różnych światów. U mnie wartością była informacja, a u niego – tajemnica. Dla mnie to, co niewypowiedziane albo nieopisane nie istnieje, a dla niego na odwrót. Jego zadaniem było informacji strzec, ja miałam je zdobywać.

W dodatku w którymś momencie swojej kariery zawodowej ja przywykłam do zgiełku, Paweł go unikał. Nie chciał chodzić na premiery, wernisaże i pokazy mody. Nie lubił świata ścianek i paparazzi. Syn często pyta o tatę?

Bardzo często, bo tata tak naprawdę nadal wypełnia nasze życie. Nie zapomnę nigdy, jak któregoś dnia siedziałam z Igorem w górach, byliśmy już mocno zmęczeni i patrzyliśmy na Giewont. W pewnym momencie zapytał: „Mamiś, a czy w niebie jest podłoga?”. Odpowiedziałam, że nie mam pojęcia, zdziwiona, skąd takie pytanie. „Bo jakby była podłoga, to by były schody, i wtedy tata mógłby szybko zejść po nich i na moment nas odwiedzić”.

Kiedyś zastanawiał się, czy Pan Bóg zasypia. Bo jeśli tak, to tata mógłby na chwilę się wymknąć i przyjść do nas. Dziecko ma coś, co my zatracamy w dorosłości: zdolność do łączenia realnego świata z mistycznym wyobrażeniem, że ta druga strona jest na wyciągnięcie ręki. Dzieci wierzą, że można z nią rozmawiać.

Co Paweł pozostawił po sobie?

Jeszcze za życia powtarzał, że nawet gdy go nie ma, to jest. I to pozostanie w języku mojej rodziny na zawsze. Dziś mówię mojemu synowi: „nawet, gdy nie ma mnie w pobliżu, to jestem z tobą”. I tata też jest.

– Ja polecałam osiem lat temu do Moskwy z przekonaniem, że muszę wszystkiego dopilnować sama. Obiecałam synowi, że znajdę tatę i dotrzymałam słowa – mówi w najnowszym „Newsweeku” Joanna Racewicz, której mąż zginął w katastrofie 10. kwietnia 2010 r.



Newsweek: Czy dostała pani zaproszenie na odsłonięcie pomnika na pl. Piłsudskiego 10. kwietnia?

Pomnika „trapu”? Nie, nie dostałam. Nie tylko zresztą ja. Parę dni wcześniej spotkałam się z dziewczynami z naszego smoleńskiego kręgu. Od lat organizujemy rocznicową mszę w intencji naszych bliskich, którzy zginęli w katastrofie. Potem zwykle jest chwila na rozmowę, pobycie razem. Większość z nas nie dostała zaproszenia ani drogą elektroniczną, ani tradycyjną pocztą. Bo tu nie o pamięć chodzi. Pamięć jest ostatnią na liście potrzeb.

Skoro nie o pamięć chodzi, to o co?

O politykę. O większe lub mniejsze, bardziej krótkotrwałe lub bardziej długoterminowe cele, do których wykorzystuje się 96 osób. Od początku boli mnie, że w opowieści smoleńskiej powtarza się tylko jedno nazwisko. To prawda, najważniejszej osoby na pokładzie, z tym nie dyskutuję. Ale pan prezydent nie polecał do Katynia sam. Wyłącznie w towarzystwie małżonki. Tymczasem o całej reszcie mówi się „i 94 inne ofiary”. Idę o zakład, że gdyby poprosić przechodniów na ulicy o wymienienie choćby pięciu osób, które zginęły 10. kwietnia 2010 roku – nikt nie byłoby w stanie tego zrobić. Nie potrafimy dbać o pamięć naszych ofiar. Amerykanie, podczas kolejnych rocznic 11. września, gdy wyczytywane są nazwiska tych, którzy zginęli – potrafią stać w szacunku i milczeniu. Niezależnie od tego, czy głosowali na Trumpa czy na Clinton. A u nas? Kapitał jedności zgromadzony w obliczu tej tragedii został bardzo szybko roztrwoniony.

Czuje pani bezsilność?

Za każdym razem, gdy w czasie miesięcznic widziałam nienawistne spojrzenia na Krakowskim Przedmieściu – tych, co niosą transparenty i tych, którzy w odpowiedzi wymachują białymi różami – zastanawiałam się, kto dał jednym i drugiemu prawo, aby szarpać pamięcią ofiar. Nie sądzę, aby mój mąż chciał w czymś takim uczestniczyć. To podeptanie prawa do szacunku dla ofiar i ich najbliższych. To także dowód na to, że przerwana żałoba – potrafi się okrutnie mścić. I już chyba nie ma większego znaczenia „kto pierwszy rzucił kamieniem”.

A przymusowe ekshumacje?

Jestem wciąż przed i z całą stanowczością odpowiadam: nie widzę żadnego sensu, aby teraz, po ośmiu latach, fundować mnie, mojemu synowi i rodzinie ponowny pogrzeb. Rozumiem powody, dla których ekshumacje mogą być dla wielu osób ważne i potrzebne. To, jak Rosjanie traktowali ciała, w jaki sposób obchodzili się z tym, co dla nas święte – nie mieści się w żadnym wyobrażeniu. Opisy znajdowanych w trumnach przedmiotów są od początku do końca prawdziwe. Powtórzę: rozumiem bliskich, którym godne pochowanie ciała ukochanej osoby przynosi ulgę. Rozumiem, ale też i proszę o zrozumienie. Ja polecałam osiem lat temu do Moskwy z przekonaniem, że muszę wszystkiego dopilnować sama. Obiecałam synowi, że znajdę tatę i dotrzymałam słowa.

Odnalazła pani męża?

Tak. Ubrałam, zapięłam spinkami mankiety koszuli. Jeśli ktokolwiek myśli, że w trumnie kapitana Pawła Janeczka jest czyjaś ręka, noga, czy niedopałek papierosa, to się myli. Byłam z Pawłem do samego końca, do zalutowania metalowego wieka i zabicia gwoździami drewnianej skrzyni.



Andrzej Błasik

„Wiem, że tam z nieba spogląda na nas, dodaje nam otuchy i sił, gdy już jesteśmy u kresu naszej ludzkiej wytrzymałości. Takich dni i nocy po jego odejściu było już wiele. Nie żałuję jednak, że dokonałam takiego wyboru w moim życiu, że związałam się z pilotem, bo mój Andrzej był... jest w tym życiu kimś wyjątkowym. Jest i pozostanie na zawsze, bo miłość jest potężniejsza niż śmierć” – Ewa Błasik.

Warto odpowiedzieć na pytanie, dlaczego właśnie rozmawiamy o generale Andrzeju Błasiku – pilocie Sił Powietrznych Rzeczypospolitej Polskiej. Wydaje się oczywiste, że uzasadnieniem jest rocznica jego tragicznej śmierci – mija bowiem osiem lat od katastrofy, którą nazywamy „smoleńską”. Ale czy chodzi tylko o to, aby jeszcze raz przeżywać dramat tamtej soboty i wspominać zdarzenie, w którym poniosło śmierć dziewięćdziesiąt sześć osób? Wielu czytelników pewnie tak uważa – kolejna rocznica, więc trzeba o tym mówić. Może nawet ktoś uzna, że to jakieś działanie socjologiczne lub polityczne... Jeśli tak miałoby być, to ja nic nie mam do powiedzenia. Dramat, który przeżyłam ja, nasze dzieci, nasi najbliżsi nie jest na sprzedaż i nie chcę moich najskrytszych myśli i przeżyć wystawiać na widok publiczny – po to, by później czytać komentarze, w których brakuje współczucia, a często także człowieczeństwa.

Decyduję się jednak na ten tekst, bo śmierć mojego męża stała się dramatem moim, ale także jego. Nie chcę i nie mogę udawać, że wszystko jest w porządku. Mój mąż stał się bowiem celem ataku.

On sam nie mógł się bronić, bo fake newsy skierowane były w człowieka, który nie żyje. Czasem myślę sobie: gdzie wtedy byli i gdzie są teraz wszyscy piętnujący mowę nienawiści? Krok po kroku, „rewelacje medialne”, jedna po drugiej okazywały się kłamstwem. Ale i wtedy nikt nie sprostował. Szkoda. Bo przecież prawda jest ciekawsza. Prawda o wyjątkowości tej katastrofy – nigdy w historii podobna nie miała miejsca. Prawda o ludziach, którzy stracili w niej życie – bo kto zna generała pilota Andrzeja Błasika? Wydaje się, że każdy. Bo każdy usłyszał, co generał robił w samolocie, gdzie stał, jakie słowa wypowiedział, jak traktował podwładnych i tak dalej, i tak dalej. Gdyby nikt nie kłamał, nie „wkładał” generała do kokpitu i nie przypisywał mu czynów i słów, których nie uczynił i nie wypowiedział, to kto mógłby powiedzieć „znam generała”? Nikt spośród „ekspertów”. Mawiamy, że trzeba zjeść beczkę soli z człowiekiem, aby go dobrze poznać. A tymczasem jak to wygląda? Każdy wie, co było przyczyną katastrofy, każdy zna się i na lotnictwie, i na psychologii, i na wojsku polskim... To zbytnie uproszczenie. Tak, każdy chciałby wiedzieć, jak to się stało, dlaczego doszło do katastrofy, dlaczego tylu ludzi zginęło... Ja też chciałabym wiedzieć. Chciałabym znać prawdę. Ale wiem, że to nie jest takie proste. Stąd moja prośba – uszanujcie Państwo naszą żałobę. Nie mówcie źle o zmarłych, nie szukajcie taniej sensacji za cenę, którą musimy płacić my – wdowy i sieroty. Powiedziano już tyle kłamstw, tyle osób oczerniono...

Dziś wiemy o wiele więcej i niestety okazuje się, że do tej pory było bardzo wiele nieścisłości, nierzetelności i – co najgorsze – zakłamywanie prawdy i wtłaczanie celowej dezinformacji. Uważam, że Ofiary Katastrofy Smoleńskiej zasługują na spokój po śmierci tak, jak każdy inny człowiek. Sądzę, że dobrze byłoby lepiej poznać ich życie, osiągnięcia, dokonania – jeśli ktoś uzna to za ważne. Dla mnie nie ma nic ważniejszego na świecie niż miłość do mojego Męża.

Od niego tak wiele zależało i wywiązywał się ze swych obowiązków bez narzekania: że trudno albo że niemożliwe. Służba mojego męża była niejednokrotnie doceniana przez przełożonych w kraju i za granicą. Szczególnie nasi sojusznicy z NATO cenili fachowość i kompetencje oraz mądrą wizję rozwoju polskiego lotnictwa prezentowane przez mojego męża. Tak, generał Błasik to niezwykle człowiek. Często brakuje go bardzo, gdy wspominam wspólnie przeżyte lata i gdy sama muszę radzić sobie z problemami dnia codziennego.

Wiem, że tam z nieba spogląda na nas, dodaje nam otuchy i sił, gdy już jesteśmy u kresu naszej ludzkiej wytrzymałości. Jest i pozostanie na zawsze, bo miłość jest potężniejsza niż śmierć.



Andrzej Sariusz-Skąpski

Chciałabym, aby przywrócono proporcje w pamięci o ofiarach. Bo zginęło 96 osób, a nie jedna, nie dwie ani siedem. W tzw. apelu smoleńskim przypomina się tylko wybranych – mówi Izabella Sariusz-Skąpska, córka.

Agnieszka Kublik: Czy ta 96. miesięcznica to dla pani jakiś koniec?

Izabella Sariusz-Skąpska: Nigdy nie utożsamialiśmy się z miesięcznicami. Dla mnie to niezrozumiały, wręcz bałwochwalczy rytuał. Mieliśmy do tego procederu negatywny stosunek, bo podczas miesięcznic poniewierano np. wizerunkiem naszego Taty.

Jak?

– Nie pytano nas o zdanie, a zdjęcie Taty pojawiało się na noszonych podczas miesięcznic transparentach. Cieszę się, że ten pogański rytuał się kończy, zwłaszcza że generował gigantyczne koszty.

I proszę sobie wyobrazić, że my, przeciwnicy miesięcznic, spotykaliśmy się z zarzutami, że jesteśmy odpowiedzialni za ten drogi proceder. Miesięcznice nie dotyczyły nas ani od strony ideowej, ani pragmatycznej. Dobrze, że się kończą, bo nie będzie okazji do poniewierania zdjęciem naszego Taty. On by sobie nie życzył uczestniczenia w miesięcznicach. I my sobie tego nie życzymy.

Nasza historia była romantyczno-polityczna



Aleksandra Natalii-Świat

– Nasza historia była romantyczno-polityczna. Poznaliśmy się w 1981 roku. Robiliśmy wówczas z przyjaciółmi teatr studencki na Uniwersytecie Wrocławskim. Ola studiowała natomiast na Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu, była wiceszefową Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Gdy pod koniec roku na uczelniach wybuchały strajki studenckie, wystawialiśmy spektakle dla strajkujących. Pewnego dnia przyjechaliśmy na Akademię Ekonomiczną i po spektaklu poznaliśmy się z Olą. Coś między nami zaiskrzyło – opowiada Jacek Świat. – Była atrakcyjną, delikatną dziewczyną, a przy tym twardą kobitą, która nieźle kierowała strajkiem. Szybko okazało się, że Jacek Świat i Aleksandra Natalii mają podobne widzenie świata i polityki. – Okazało się, że bardzo wiele nas łączy. Przegadaliśmy cały wieczór.

W czasie stanu wojennego, Jacek Świat na pół roku został internowany, trafił do Nysy. – Myślałem, że ta znajomość nie przetrwa. Przypadek sprawił jednak, że do mojej celi trafiło dwóch kolegów z NZS-u, którzy znali Olę. Przez znajomych puściłem jej gryps i dostałem odpowiedź. W ten sposób kontaktowaliśmy się kilka razy. Po moim powrocie zaprosiłem Olę na powitalną wódeczkę. Od tej pory byliśmy już parą. W czerwcu 1985 roku para wzięła ślub...

10. kwietnia, – rano przybiegła do mnie nasza przyjaciółka mieszkająca w pobliżu. Mówiła, że coś się wydarzyło, żebym włączył telewizję. Po kilkunastu minutach pojawił się pasek z nazwiskami osób, które leciały samolotem. – W pierwszej chwili miałem nadzieję, że Ola nie poleciała. Zadzwoiłem do niej, ale miała wyłączony telefon. Wtedy już wiedziałem. Ola wyłączała telefon tylko wtedy, gdy wsiadała do samolotu. Pożegnanie na lotnisku było naszym ostatnim spotkaniem – opowiada Jacek Świat. – Z trzech kolejnych dni po katastrofie niewiele pamiętam – dodaje.



Andrzej Przewoźnik

Jego patriotyzm, nie taki wyrachowany, tylko naprawdę szczery, prosto z duszy i serca, zawsze dotyczył faktów i ludzi. Słowa „Bóg, honor, ojczyzna”, dziś już nieco zapomniane, były dla niego sztandarowym hasłem, z którym szedł przez życie – tak wspomina Andrzeja Przewoźnika jego żona Jolanta. Był kochający i opiekuńczy dla rodziny, twardy i nieustępliwy w negocjacjach, profesjonalny i wytrwały w badaniach. Przyczynił się do odbudowy i ponownego otwarcia Cmentarza Orląt Lwowskich, kwatery AK na wileńskiej Rossie, upamiętnienia ofiar zbrodni w Jedwabnem. Zajmował się kontynuacją ekshumacji w Miednoje, Charkowie, Katyniu. To on wyegzekwował od Rosjan zgodę na utworzenie cmentarza i pomnika w katyńskim lesie. Poświęcił tej sprawie 18 lat swego życia. Zginął w drodze na uroczystości, które sam pomagał zorganizować...

Jolanta Przewoźnik pielęgnuje pamięć o swoim mężu. Zastanawia się, czy dziś ktoś chce jeszcze zgłębiać historię tych, którzy zginęli pod Smoleńskiem. – O tej katastrofie coraz częściej mówi się hasłowo, o samym wydarzeniu, często też w kontekście politycznym. Niknie natomiast pamięć o samych ludziach, którzy tam zginęli. W opinii publicznej zacierają się już nawet twarze i nazwiska.

Jednak Pani Jolanta wciąż spotyka się z rodzinami innych ofiar. Często kontaktują się też z nią ludzie, nieraz zupełnie obcy, którzy współpracowali lub mieli po prostu styczność z jej mężem i mają wiele wspomnień na jego temat.

Nasza historia zaczyna się właśnie od historii, która była pasją Andrzeja, w której razem się zanurzaliśmy. To nie przypadek, że spotkaliśmy się właśnie studiach. Andrzej zaraził się pasją do historii jeszcze w szkole średniej, choć już w dzieciństwie zaczytywał się w „tygrysach”, a potem także wspomnieniach, pamiętnikach i innych książkach o polskich żołnierzach. Zanim poszedł na Uniwersytet Jagielloński, skończył technikum geologiczne. Często jeździł na praktyki na Suwalszczyznę i Podkarpacie, gdzie przeprowadzano odwierty. To się ciekawie przeplatało – jego pasja historyczna łączyła się z wiedzą geologiczną, co zaprocentowało później w jego pracy zawodowej. Swoje kolejne projekty traktował jako misję i zadośćuczynienie dla tych, którzy nie mogli już nic zrobić.

Nie było mu to jednak dane. Nie dostał etatu na Uniwersytecie Jagiellońskim. Warunkiem było zapisanie się do partii, co w jego przypadku nie wchodziło w rachubę. Czuł się człowiekiem „Solidarności”, w której działalność był zresztą zaangażowany w latach 80. Wkrótce przyszła oferta pracy w Warszawie – w Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Przyjął ją. Miał wtedy 28 lat. Jeszcze nie wiedział, że przyjdzie mu zmierzyć się z tak ważnymi dla Polski przedsięwzięciami, jak kontynuacja ekshumacji w Katyniu, Miednoje i Charkowie, odbudowa Cmentarza Orląt Lwowskich i kwatery AK na wileńskiej Rossie czy sprawa Jedwabnego. Cierpliwie dochodził do celu.

Tak było chociażby z cmentarzami katyńskimi, przy których było dużo trudnych historii i międzynarodowych umów. Bywało, że rozmowy prowadził jeszcze z oficerami i dyplomatami starego systemu w Związku Radzieckim. Często przed nim siadali generałowie NKWD i innych służb.

Pani Jolanta wiedziała, że jej mąż 10. kwietnia 2010 roku poleci do Smoleńska i nawet nie próbowała odwozić go od tego. Koordynując i organizując uroczystości na cmentarzu katyńskim, był tam praktycznie co roku. Ta wizyta była dla niego ważna, bo uważał, że dla zamordowanych tam polskich żołnierzy, odwiedzający ich prezydent, najważniejsze władze państwowe i oficerowie, oddający im należny szacunek za lata niepamięci, to coś wyjątkowego, na co zasłużyli oni i ich rodziny.

– Życie jest ważne tyle, ile się robi dla innych – to dobra puenta jego życia.



Jolanta Szymanek-Deresz

Ojciec nauczył ją jednego – że każde zachowanie i każdy pogląd powinien znaleźć jakieś uzasadnienie. – To było jedno z pierwszych słów, jakie w dzieciństwie poznałam – mówiła Jolanta Szymanek-Deresz. – Stosy uzasadnień zawsze leżały na biurku ojca, a kiedy ze znajomymi grał w brydża, podstawowym argumentem było: „ta zagrywka nie ma żadnego uzasadnienia”.

Prawo jako kierunek studiów wybrała sama, być może dlatego, że od dziecka nasiąkała prawniczą atmosferą. – Na choinkę dla dzieci chodziłam do sądu. I zawsze z wizyt w takim magicznym według mnie i dostojnym budynku cieszyłam się bardziej niż ze Świętego Mikołaja. Tego, by sobie i innym stawiać zawsze jak najwyższe wymagania, nauczył ją właśnie ojciec. – Nie, nie był surowy, ale miał jeden, dla nas, jego córek, paskudny zwyczaj. – Kiedy coś przeskrobałyśmy, ojciec zamiast nas zwyczajnie skarcić, przez godziny dociekał: „A jakie były motywy naszego postępowania? Jak taki wyskok możemy uzasadnić? Dlaczego uznaliśmy, że tak będzie lepiej?” i tak dalej. A my wiłyśmy się jak na mękach, a dziś w ten sam sposób traktujemy własne dzieci i nie tylko je.

I właśnie ta rzetelność, to żądanie argumentów sprawiło, że dla wielu była wyjątkowo trudnym przeciwnikiem w polityce. Jej, co wszyscy podkreślają, klasa i piękno sprawiały, że dla niej każdemu chciało się chcieć. Bo nigdy nie podnosiła głosu, nigdy nie zakłęła i nigdy nie miała dość. Życia. Rodziny. Polityki, rozumianej jako ulepszanie zastanej rzeczywistości.

Zanim weszła do polityki, pracowała jako adwokat. Do polityki trafiła przez Ryszarda Kalisza, który w 2000 roku zarekomendował ją prezydentowi Kwaśniewskiemu. W 2005 roku, po zakończeniu pracy w Kancelarii Prezydenta, przejście do Sejmu było niejako naturalną konsekwencją. Polityka dawała jej wielką satysfakcję. – Wyżywała się w tym po prostu. Trafiła do gniazda pełnego żmij i świetnie dawała sobie wśród nich radę. Czuła, że ma mnóstwo dobrego do zrobienia i mnóstwo złego do naprawienia. I byłaby w stanie to zrobić, bo wniosła do polityki to, co dziś jest już nierealne i czego większości polityków brakuje, czyli wiedzę. Oraz, w dyskusji, żądanie argumentów, a nie podniesionego głosu. – To właśnie ją wyróżniało na tle tych wszystkich krzykaczy.

Paweł Deresz wzywa prokuratora Święczkowskiego:

"Proszę odwołać ekshumację mojej żony!"



Od 4. kwietnia, Paweł Deresz czeka na odpowiedź prokuratury w sprawie ekshumacji jego żony Jolanty Szymanek-Deresz. Zaplanowana została w nocy z poniedziałku na wtorek. – Czego prokurator szuka w grobie mojej żony? Przecież nie znajdzie innej przyczyny śmierci niż w przypadku już ekshumowanych ofiar katastrofy smoleńskiej.

Pełnomocniczka Pawła Deresza, mecenas Beata Czechowicz, w poniedziałek złożyła w Prokuraturze Krajowej wniosek „o wstrzymanie wykonalności” zarządzanej ekshumacji. Deresz domaga się, by Bogdan Święczkowski skorzystał z uprawnień zapisanych w ustawie o prokuraturze i odwołał ekshumację jego żony. Prokurator Krajowy ma dwie możliwości: może uchylić postanowienie o ekshumacji lub ją wstrzymać. Zapytaliśmy, czy wstrzyma ekshumację Jolanty Szymanek-Deresz. Nie dostaliśmy odpowiedzi.

Deresz od początku protestował przeciwko ekshumacji. Poszedł nawet do sądu i zaskarżył postanowienie prokuratury. I w kwietniu zeszłego roku warszawski sąd okręgowy uznał, że ekshumacja wbrew woli bliskich może być niezgodna z konstytucją i prawami człowieka. Sąd zwrócił się do prokuratury o wstrzymanie ekshumacji części ofiar katastrofy smoleńskiej i do Trybunału Konstytucyjnego, by zbadał problem i rozstrzygnął, czy brak drogi zaskarżenia postanowienia o ekshumacji jest zgodny z konstytucją i Konwencją Praw Człowieka.

Prokuratura zastosowała wobec mnie przemoc – mówi Paweł Deresz o przymusowej ekshumacji żony. Deresz liczył na to, że ekshumacja ciała jego żony zostanie wstrzymana – przynajmniej do czasu decyzji Trybunału. Ale pod koniec marca tego roku prokuratura zdecydowała, że nie będzie czekać na decyzję TK. – Odniosłem wrażenie, że prokuratorzy nie liczą się zupełnie ze zdaniem tego Trybunału. Przekonywali mnie, by nie czekać na jego rozstrzygnięcie.

Deresz ma argumenty prawne. Ekshumacje prokuratura zarządziła w śledztwie w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci. Tu zarzuty ma mieć trójka Rosjan, którzy 10. kwietnia 2010 r. pracowali na smoleńskim lotnisku na wieży kontrolnej. Polska prokuratura od trzech lat chce postawić zarzut spowodowania katastrofy ppłk. Pawłowi Plusninowi (kierownik lotów feralnego dnia) i mjr. Wiktorowi Ryżence (kierownik strefy lądowania obsługujący radiolokacyjny system naprowadzania), którzy powinni byli zamknąć lotnisko z powodu złych warunków, oraz płk. Nikołajowi Krasnokutskiemu.

Dotychczas przeprowadzone ekshumacje ponad 70. ofiar katastrofy obaliły hipotezę wybuchu – biegli ocenili, że zwłoki mają obrażenia charakterystyczne dla ofiar katastrof komunikacyjnych. Śladów materiałów wybuchowych nie znaleźli. Ale prokuratura liczy na to, że im więcej ekshumacji, tym więcej pomyłek ciał. A te dane są potrzebne w innym śledztwie – w sprawie nieprawidłowości przy ustalaniu śmierci ofiar katastrofy poprzez zaniechanie sekcji zwłok w Polsce tuż po katastrofie. Czyli ekshumacje prokuratura przeprowadza na potrzeby innego śledztwa, a w innym wykorzystuje jej wyniki. Uważam to za niemoralne i godne potępienia, bo te śledztwa mają kompletnie różną rangę. W pierwszym chodzi o szukanie dowodów na morderstwo, w drugim o zwykłe przestępstwo urzędnicze – mówi Deresz.

Prokuratura zaczęła prace ekshumacyjne jesienią 2016 r., chce ekshumować 83 ciała (część została skremowana). I to bez zgody ich rodzin. Bo kodeks postępowania karnego nie przewiduje możliwości pytania bliskich o pozwolenie.



Małgorzata Wassermann



Zbigniew Wasserman

– Gdybym to ja przewodziła pracami podkomisji smoleńskiej, to może bym prowadziła inną politykę informacyjną – powiedziała Małgorzata Wassermann. Dodała jednocześnie, że ma zaufanie i szacunek do pracy zespołu Antoniego Macierewicza. Posłanka PiS skomentowała także nieobecność części rodzin ofiar katastrofy smoleńskiej podczas wczorajszych uroczystości. Jestem w tej komfortowej sytuacji, że część ludzi w komisji jest mi znanych. Mam do nich szacunek i do tego, co zrobili. Wiem, jaka jest skala ich pracy i nie ma to nic wspólnego z wyśmiewaniem, które jest na zewnątrz – powiedziała Małgorzata Wassermann. Dodała, że czeka na efekt „zaawansowanych, bardzo kosztownych i skomplikowanych prac”. Posłanka PiS uważa, że w kontekście tego, jak wyglądają prace i jak trudno było pozyskać fachowców do podkomisji, to jak na razie czas jej funkcjonowania jest krótki. Antoni Macierewicz poświęcił tej sprawie bardzo dużo życia. Poświęcił czas i energię. Gdybym ja to prowadziła, to może bym prowadziła inną politykę informacyjną. Mam zaufanie do pracy, którą jest wykonywana. Wassermann odniosła się także do opinii Macieja Laska, który współtworzył raport komisji Millera i zaprzecza stanowczo teorii o wybuchu. – Pan Maciej Lasek, gdyby miał troszkę odwagi, to przyjąłby zaproszenie i pozwolił na zadanie szeregu pytań na temat jego raportu.

– Dopuszczam każdą możliwość. Nie oczekuje, że ktoś będzie udowadniał daną tezę. Komisja Millera stanowczo wypowiadała się na temat tego, że nie było wybuchu, tylko jest jeden problem, nie przeprowadzili na ten temat żadnych badań – powiedziała. Nie potrafię powiedzieć, czemu niektórzy nie przyszli. Mam nadzieję, że to będzie pomnik, który będzie nas łączyć, będzie mógł każdy przyjść i powspominać. Czas goi rany, ale ten dzień jest specjalny. Chciałabym, żeby przy tym pomniku potrafiono się powstrzymać od złych słów. Politycy partii opozycyjnych chcą nakręcać siebie i społeczeństwo. Nie dajmy się wciągnąć chociaż tego dnia w te podziały.

„Wierzę, że tata cały czas mi pomaga”

O wypełnianiu pustki po tragicznie zmarłym Zbigniewie Wassermannie opowiada jego córka.

Upływający czas oswaja nas z faktem, że nie ma już tej najbliższej osoby i nie możemy skorzystać z jej pomocy, rady czy pocieszenia. Muszę powiedzieć i to jest takie wyjątkowe, że po ostatnim posiedzeniu Sejmu, kiedy wracałam samochodem do Krakowa, był taki moment, gdy czułam ogromną potrzebę rozmowy z ojcem. Chciałam znów przedyskutować z nim kilka spraw – ten jego brak był znów taki bardzo namacalny. Jest sporo tematów, w których byłby najlepszym rozmówcą. Często mówię do niego, mając nadzieję, że mnie słyszy. Wierzę, że cały czas mi pomaga...

Nie rozmawialiśmy zbyt często. Tata był bardzo zajęty. Zdawałam sobie sprawę, że nie mam takiego komfortu, aby móc zadzwonić do niego w każdej chwili. Po drugie – przed katastrofą był bardzo mocno zaangażowany w prace komisji śledczej. Dziś wiem, jaki to ogrom pracy. Ja też wtedy byłam bardzo zajęta, więc konsultowałam kwestie tylko najbardziej istotne. W dni wolne nie chcieliśmy przenosić naszej pracy do domu. Czasem wystarczała sama świadomość, że ojciec jest, a tego nie da się niczym zastąpić. Patrząc na to z perspektywy ośmiu lat, wtedy trzeba było szybko nauczyć się żyć od nowa. Wziąć odpowiedzialność za siebie, za rodzinę. Na początku w ogóle nie myślałam, że muszę sobie z czymś radzić. Bardziej skupialiśmy się na tym, jak wyprowadzić z całej traumatycznej sytuacji naszą mamę, aby nie doznała uszczerbku na zdrowiu. To jest trudne pytanie. To są pewne obrazy, które wracają. Wspomnienia. Mogę powiedzieć, że miałam bardzo szczęśliwe dzieciństwo. Nie byliśmy bardzo zamożni, ale mieliśmy siebie – szczęśliwą, radosną rodzinę. Spotykaliśmy się w gronie najbliższych. Druga rzecz, którą pamiętam, to fakt, że tata miał bardzo ciężkie życie zawodowe. Dużo pracował i pomagał wielu ludziom. Jednak miał zasadę, że o tym nie mówił, nie chwalił się. O wielu tych historiach dowiedzieliśmy się dopiero po jego śmierci.



Paweł Krajewski

Był bardzo przystojnym młodym chłopakiem. Po prostu przyciągał do siebie ludzi. Była to straszna wiadomość dla najbliższej rodziny: matki, żony, syna, córki i brata. Śmierć funkcjonariusza BOR wstrząsnęła najbliższymi przyjaciółmi, kolegami i koleżankami z lat szkolnych, a także harcerzami z przasnyskiego hufca ZHP. Ciało zmarłego w środę, 14. kwietnia 2010 roku, wylądowało na lotnisku Okęcie w Warszawie. Przywitała go najbliższa rodzina. Czułymi słowami wsparł premier Donald Tusk, mówiąc do rodzin poległych pod Smoleńskiem: „Dzisiaj Wasi bliscy płaczą. Dzisiaj płacze cała Ojczyzna”. Ciało zostało przywiezione do kościoła farnego w Przasnyszu. Przez cały dzień, przy jego trumnie czuwali harcerze. Wśród nich były zuchy, przasnyskie drużyny młodszo- i starszoharcerskie, krąg instruktorski, oraz jego wierni druhowie. To oni pomagali przy ustawianiu zniczy i kwiatów. Podczas mszy żałobnej, Paweł Krajewski postanowieniem Bronisława Komorowskiego, został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, szef Biura Ochrony Rządu wyróżnił go zaś za wzorową służbę odznaką Honorową Biura Ochrony Rządu.

Andrzej Duda ... był moim mentorem, nauczycielem, profesorem

Andrzej Duda: była osobą twardo trzymającą się ziemi



PREZYDENT RP LECH KACZYŃSKI

PIERWSZA DAMA MARIA KACZYŃSKA

Andrzej Duda wspomina prezydenta Lecha Kaczyńskiego...

Był moim mentorem, nauczycielem, moim profesorem. Człowiekiem niezwyklej wiedzy. Brakuje mi go, bardzo... Wciąż pamiętam go tak samo — w białej koszuli z podwiniętymi rękawami, przechadzającego się profesorskim krokiem podczas gorących politycznych dyskusji...

– Za rok skończyłby 70 lat... – Być może dziś pełniłby służbę na arenie międzynarodowej? Chciał być też wykładowcą na uczelni. Studenci słuchaliby go z zapartym tchem. Miał niezwykle doświadczenie, niezwykłą wiedzę. Brakuje mi go, bardzo. Jego głosu, rady, mądrości, doświadczenia. Był nad wyraz przywiązany do własnych racji, czasem przewrażliwiony na swym punkcie i nie znoszący sprzeciwu. Ale też dużo było w nim szacunku dla instytucji państwa i wycucia geopolitycznych interesów Polski. Dużo zrobił dla pojednania Polaków z Żydami i Ukraińcami, stał się też adwokatem krajów Wschodu w strukturach Unii Europejskiej i NATO. Im więcej mija czasu od 10. kwietnia 2010 r., tym bardziej widać, jak bardzo w polskiej polityce brakuje Lecha Kaczyńskiego.

Andrzej Duda wspomina Marię Kaczyńską...

Była osobą twardo trzymającą się ziemi. Silna osobowość, bardzo mądra i równocześnie prostolinijna. Zawsze gotowa do pomocy. Ludzie pisali do niej listy ze swoimi zmartwieniami i problemami. Z niektórymi przychodziła do mnie... Była bezpośrednia. – Jak miała jakieś uwagi, to nie owijała w bawełnę. Nie traktowała siebie jako wielce celebrowanej postaci publicznej. Wręcz przeciwnie: mocno trzymała się życia. Jej misją było pomaganiem innym, zwłaszcza dzieciom, ludziom chorym i znajdując się w trudnej sytuacji. Swoją misję realizowała znakomicie. **Ekonomistka, tłumaczka. Jako pierwsza dama zaangażowana w działalność charytatywną.**



Jacek Surówka

Funkcjonariusz BOR. Całkowicie poświęcony swojej ciężkiej, niebezpiecznej pracy. Człowiek wielu talentów i zainteresowań. Opiekun słabszych. W dniu śmierci miał 36 lat. Wiele osób kojarzy z mediów jego żonę – Krystynę – kobietę, która nie wahała się sprzeciwić ekshumacjom zapowiedzianym przez władze. Jacek na początku swojej kariery służył w krakowskiej 6. Brygadzie Desantowo-Szturmowej, a następnie specjalizował się w ochronie. Gdy dostał pracę w Biurze Ochrony Rządu, wraz z żoną przenieśli się do Warszawy. Znał angielski, niemiecki i hebrajski. Był bardzo dumny z pracy, traktował ją jak misję.

W stolicy Jacek rozpoczął studia na pedagogice specjalnej. Pracował też jako wolontariusz w Centrum Rehabilitacji, Edukacji i Opieki TPD. Prowadzący ośrodek podkreślają, że dzieci go uwielbiały.

A skąd się wziął pseudonim „Płetwa”? W gronie funkcjonariuszy takie ksywy nadają koledzy. – „Płetwa”, bo miał duże dłonie – wyjaśnia żona. – Koledzy śmiali się, że jak wpada do basenu, to woda aż się gotuje, że szybko pływa właśnie przez te płetwy.

Koledzy z Biura Ochrony Rządu podkreślali też, że był to człowiek niezwykle dowcipny i koleżeński. Wielokrotnie mówił do żony – „ja nie jestem singlem, ja pracuję w zespole”. To, pomimo ryzykownej pracy sprawiało, że oboje czuli się bezpiecznie.

W każdym widział drugiego człowieka



Miron Chodakowski

Zawsze był bardzo bezpośredni. Mówił, co myślał. Kiedy zwracał człowiekowi na coś uwagę, to nie odbierało się tego negatywnie. On miał taki dar, że traktowało się to jako poradę czy wręcz pomoc – tak wspomina arcybiskupa generała dywizji Mirona, prawosławnego ordynariusza Wojska Polskiego, dr Musiuk, prodziekan ds. nauki Wydziału Architektury Politechniki Białostockiej.

Supraśl. Niewielkie, urokliwe miasteczko na Podlasiu, nad którym góruje monumentalna, charakterystyczna budowla z czerwonej cegły. To cerkiew, będąca częścią monasteru Zwiastowania Przenajświętszej Bogurodzicy i św. Jana Teologa. Jej odbudowa od samych fundamentów to w dużej mierze zasługa arcybiskupa Mirona, późniejszego prawosławnego ordynariusza Wojska Polskiego.

To tutaj zaczynał swoje życie zakonne. To tutaj spoczywa, w krypcie pod prawym filarem, tak jak to sobie wymarzył jeszcze za życia. Nie wiedział jednak, że nastąpi to tak szybko...

Urodził się 21. października 1957 roku w Białymstoku. Religia była obecna w jego życiu właściwie od zawsze, ponieważ wychowywał się w głęboko wierzącej rodzinie. Już jako kilkuletni zaczął przysługiwać w czasie nabożeństw w soborze św. Mikołaja w Białymstoku. W 1972 roku, wstąpił do prawosławnego seminarium duchowego w Warszawie. Po jego ukończeniu złożył wieczyste śluby mnisze w monasterze św. Onufrego w Jabłecznej na Lubelszczyźnie, którym też potem przez pięć lat kierował.



Jerzy Szmajdziński

Był tytanem pracy. Nie wdawał się w polityczne awantury. To zmuszało jego politycznych przeciwników do podobnych zachowań. Był posłem nieprzerwanie od 1991 roku. Po raz pierwszy zasiadał w Sejmie w latach 1985-1989. W swojej politycznej karierze był wicemarszałkiem Sejmu oraz ministrem obrony narodowej w rządach Leszka Millera i Marka Belki. W 1990 roku, był jednym z założycieli Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej i wszedł w skład kierownictwa partii. W 1991 roku, został posłem z okręgu jeleniogórskiego. To za jego ministrowania Polska zakupiła samoloty F-16. Godził piastowanie wysokich funkcji w Warszawie z bywaniem w tzw. terenie. Przez kilkanaście lat bycia w jądrze krajowej polityki pozostał normalnym facetem, rozumiejącym zwykłego człowieka, co dzisiaj jest rzadkością w polityce. Miał być kandydatem lewicy w wyborach prezydenckich, ale w Smoleńsku wszystko się skończyło. Po katastrofie smoleńskiej przyjaciele Jerzego powołali do życia fundację jego imienia. Celem fundacji jest pomoc uzdolnionej młodzieży, która znajduje się w trudnej sytuacji materialnej. Mówienie, że nie ma ludzi niezastąpionych, jest trochę mówieniem na wyrost, ale w przypadku Jurka tak właśnie było. To był facet, który rozmawiał z każdym, który nie miał wrogów. Ważne było dla niego, czy da się zrobić coś dobrego dla regionu, dla województwa.– Gdyby żył i działał dalej, to SLD jako partia byłaby w zupełnie innym położeniu, niż jest dzisiaj...

Tak bardzo chcę usłyszeć tatę



Krzysztof Putra

Córka Krzysztofa Putry przyznaje również, że „jako jedyna z rodziny pojechała do Smoleńska”. – Potrzebowałam tego. To doświadczenie mi bardzo dużo dało. Często też odtwarzałam film z ostatnich sekund katastrofy. Tak bardzo chciałam tam usłyszeć tatę. Zastanawiałam się, ile bólu można było poczuć w wyniku tej katastrofy. Mam nadzieję, że nie było tak, że samolot się rozbił, a tata konał w męczarniach. To by było dla mnie najgorsze. Rozmowy o zmarłym ojcu nadal wywołują w rodzinie wiele emocji. Jak próbuję o tym rozmawiać z synem, to bardzo się wzruszam. On mnie wtedy pyta: „Mamusiu, dlaczego jesteś taka smutna?”. Odpowiadam: „Masz tylko jednego dziadka, którego możesz poznać. Jest mi smutno, że nie możesz spotkać tego drugiego”.

Przypomina, że po tragedii smoleńskiej cała rodzina otrzymała dużo wsparcia ze strony przyjaciół i znajomych zmarłego. Tak naprawdę potrzebowaliśmy wtedy duchowego wsparcia. Znajomi taty nam wtedy bardzo pomogli, odwiedzali nas, dzwonili. Po tacie pozostały tylko zegarek i karta z samolotu. To wszystko jest przesiąknięte zapachem benzyny. Mama to trzyma w specjalnym pudełku, zawsze jak ją odwiedzam, to tam zaglądam i wącham. Nie wiem sama dlaczego, to dziwne. Może chcę poczuć jego ostatni moment?



Ryszard Kaczorowski

Choć wir historii porwał go przypadkiem, to jednak rzucił na jego barki misję zupełnie wyjątkową – łącznika między epokami. Zawsze elegancki, dostojny i szarmancki. Był symbolem czasów, które bezpowrotnie minęły. Przede wszystkim był harcerzem.

„Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Ojczyźnie; nieść chętną pomoc bliźnim”. Od tych słów zaczyna się przyrzeczenie harcerskie, które jako młody chłopak wypowiedział w swoim rodzinnym Białymstoku. To swoiste credo późniejszego prezydenta najlepiej oddaje jego dziejową misję. Bo w służbie ojczyźnie przyszło mu spędzić całe swoje dorosłe życie. I trwał w niej aż do końca, do tragicznego poranka. Najpierw służba pomocnicza w wojsku, a potem konspiracyjne harcerstwo – Szare Szeregi. Jego działalność nie umknęła jednak czujnemu oku okupanta, czyli NKWD. Areszt, sowieckie więzienie, proces i najsurowszy z możliwych wyroków – kara śmierci. W celi śmierci spędził 100 dni. Życie jednak ocalił, ale trafił na „niehumanitarną ziemię” z dziesięcioletnim wyrokiem. Na Kołymie pracował w kopalni złota, a dla miejscowych – w „dolinie śmierci”. Ale te straszne warunki przetrwał. Po kilku miesiącach przyszło kolejne wybawienie w postaci amnestii, a potem – wstąpienia w szeregi tworzącej się w ZSRR Armii Polskiej generała Andersa. Znowu oszukał los.

Z 2. Korpusem Polskim przeszedł cały szlak bojowy – z bitwą o Monte Cassino i zdobyciem Bolonii włącznie. Do Polski Ludowej nie wrócił, wybrał Londyn i emigrację. Tam zaczął swoje życie od nowa – skończył studia. Pod koniec lat sześćdziesiątych został przewodniczącym ZHP na uchodźstwie. W tym czasie wielokrotnie reprezentował ten ruch podczas zlotów na całym świecie. Był ambasadorem Polski.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych zdecydował się na aktywniejsze wejście w świat polityki. Na początku był to udział w Radzie Narodowej. Potem były kolejne szczeble – minister do spraw krajowych, aż wreszcie – następca urzędującego prezydenta RP Kazimierza Sabbata. Zmieniał się Związek Radziecki, lada dzień w obliczu przełomowych zmian stanie i Polska. Nie spodziewał się roli, jaką przyjdzie mu odegrać.

19. lipca 1989 r., dotarła informacja o nagłej śmierci prezydenta Sabbata. Kaczorowski początkowo myślał, że osoby, które dotarły do niego z wiadomością, że to on teraz stanie na czele emigracyjnych władz, po prostu żartują. Ale tak nie było. Historia po raz kolejny się o niego upomniała. Jako harcerz nie mógł odmówić i jeszcze tego samego dnia złożył przysięgę. Stał się głową państwa.

Niemal równocześnie, w Warszawie został zaprzysiężony na prezydenta gen. Jaruzelski. Realizował się element umowy zawartej podczas obrad Okrągłego Stołu. W ciągu kolejnych miesięcy proces zrzucania komunistycznego jarzma przyspieszył. Jaruzelski odszedł, a Polacy po raz pierwszy w historii w demokratycznych wyborach wybrali swojego prezydenta. Pod koniec 1990 roku, do Belwederu miał oficjalnie wprowadzić się Lech Wałęsa. A to zrodziło pytanie – co z władzami w Londynie?

22. grudnia, podczas uroczystości na Zamku Królewskim przekazał na ręce Wałęsy insygnia prezydenckie II Rzeczypospolitej. „Przekazując te insygnia wraz z chorągwią Rzeczypospolitej, która powiewała niegdyś na tym zamku, upatruję w nich złoty klucz do lepszej przyszłości naszej, ponad wszystko umiłowanej ziemi rodzinnej” – powiedział. „Powinniśmy podać sobie ręce i pamiętać, że nie ma alternatywy dla nadziei. Nasz naród jest skazany na własne siły i wierzę, że dobry Bóg nam pomoże”. Dziejowa misja Ryszarda Kaczorowskiego, zupełnie wyjątkowa w historii Polski, dobiegała końca. To nie oznaczało końca jego służby dla niepodległej Polski. Wręcz przeciwnie. Jako były prezydent i symbol naszej państwowości pozostał aktywny aż do samego końca. W takiej też roli znalazł się w składzie prezydenckiej delegacji, która 10. kwietnia wyleciała na uroczystości w Katyniu. Ojczyzna pożegnała go godnie, a tłumy ludzi przyszły go pożegnać w Belwederze. Ciało Ryszarda Kaczorowskiego spoczęło w Panteonie Wielkich Polaków w świątyni Opatrzności Bożej. Powrócił do kraju na zawsze.



Natalia Januszko

– Śniło mi się, że wracamy z zajęć, a Natalia ma smutną minę, płacze i ja już wtedy wiedziałem, że ona nie chciała odejść, nie chciała umrzeć – Natalię Januszkę, stewardesę, która zginęła w katastrofie smoleńskiej, wspomina jej przyjaciel ze studiów – Michał Kluska. To niesprawiedliwe. Miała całe życie przed sobą. Często chodzę do niej na cmentarz, w urodziny kupuję tyle zniczy, ile miałaby lat. Raz poszedłem na grób Natalii i wypilem tam dwa piwa. Brakuje mi jej, rozumieliśmy się bez słów. Został mi jeden obraz w głowie: jak Natalia biegnie przez środek korytarza na uczelni, w brązowym płaszczu i z brązową torebką, strasznie się spieszy, a na twarzy ma wielki uśmiech. I taka właśnie była. Zawsze uśmiechnięta, wiecznie się gdzieś spieszyła. Była bardzo lubiana, nie miała wrogów. I bardzo dziewczęco wyglądała, nie musiała się malować. Była śliczną dziewczyną.

Perfekcjonista



Piotr Nosek

Jeden z najdzielniejszych i najlepiej wyszkolonych – mówił były premier Tusk. On w służbę zaangażowany był od samego początku. I od początku niósł przesłanie związane z wykonywaniem swoich zadań – wspomina Piotra jego kolega Dariusz Palczewski. – Pracowaliśmy razem, spotkaliśmy się przy okazji służby w Kancelarii Premiera. W Smoleńsku miał status oficera ochrony osobistej, chodził w szyku obrońnym. Był jednym z najlepszych funkcjonariuszy w swojej dziedzinie. Studiował zarządzanie bezpieczeństwem, zdobywał wiedzę o ochronie informacji niejawnych i wiadomości prawnie chronionych. Służył od 20. roku życia aż do śmierci w Smoleńsku.

„W słuchawce kamuflażu radiostacji słyszany był jako »Nochal«” – mówią przedstawiciele dawnego BOR. Pasjonat sportów walki. Te naprawdę niezwykle trudne obowiązki służbowe wykonywał z niezwykłym zaangażowaniem, przejawiając zawsze bardzo dużą inicjatywę. Stale doskonalił swoje umiejętności zawodowe, wzorowo reprezentował Biuro Ochrony Rządu, umiejętnie współpracując z przedstawicielami administracji państwowej. Był instruktorem strzelectwa sportowego i instruktorem wschodnich sztuk walki. Nie bał się podejmować trudnych decyzji. Marian Janicki, były szef BOR, mówił: „Nosek? Profesjonalista. Jeśli chodzi o sporty walki, to perfekcionista. Mógłby zajmować się nie tylko ochroną osobistą VIP-ów, ale także szkoleniem młodych adeptów tego zawodu”. Nie było mu to dane. – I faktycznie zapamiętamy go jako wielkiego pasjonata broni. Potrafił za prywatne pieniądze dokupywać sobie elementy broni i wyposażenia. W BOR miał status absolutnego fachowca. Zbierał różne rodzaje broni, między innymi noże, bagnety. Jeździliśmy razem na zawody strzeleckie w Polsce. Zajmował się rusznikarstwem. Miał żonę i córkę.

W jego pogrzebie – zgodnie z wolą rodziny – nie uczestniczyły media. Bliscy Piotra Noska, gdy poprosiliśmy ich za pośrednictwem Służby Ochrony Państwa o wspomnienia, także poprosili o uszanowanie ich prywatności.



Barbara Maciejczyk

Mówiła, że mogłaby mieszkać dziesięć kilometrów nad ziemią. Wiecznie unosić się w powietrzu. Była członkinią załogi TU-154, stewardesą na pokładzie. Z nagrania na czarnej skrzynce wynika, że miała obawy co do lądowania w fatalnych warunkach pogodowych, jakie panowały tego kwietniowego poranka. Cechowała ją bezwzględność w pilnowaniu procedur. – Nie patrzyła na to, czy pasażerem jest prezydent, czy jakiś dziennikarz. Dla niej pasażer to pasażer, bezpieczeństwo było na pierwszym miejscu. – Potrafiła posadzić na miejsce generała, cofnąć premiera z przejścia, bo coś jej się nie podobało, bo coś było niezgodnie z przepisami. Zdjęcia Barbary w rodzinnych zbiorach pochodzą z całego świata. Jest Basia z kolegami w Afganistanie, pozująca na tle starożytnych kolumn w Grecji czy roześmiana w Peru. Uwielbiała podróże. Na równi, a może nawet bardziej ceniła wzbijanie się ponad chmury. Unoszenie się w powietrzu 10 kilometrów nad ziemią. Wylatała dokładnie 1396,62 godzin.

Ponad schematy i podziały



Janusz Kochanowski

Wielka szkoda, że nie mógł dokończyć swojej kadencji. Miał w planach nowe projekty. Chciał uczynić Katyń miejscem pojednania, miejscem spotkań Polaków i Rosjan, zwłaszcza młodzieży. Szedł własną drogą, nie unikał sporów z władzą i bardzo często potrafił wspiąć się ponad utarte schematy i podziały na scenie publicznej. Urząd Rzecznika Praw Obywatelskich od początku miał wyjątkowe szczęście do ludzi. Każdy z moich poprzedników reprezentował nie tylko wysoki poziom wiedzy prawniczej, ale również charakter i odwagę. W tym czcigodnym panteonie rzecznik V kadencji dr Janusz Kochanowski odegrał niezwykle ważną rolę. Największe wrażenie Rzecznik V Kadencji pozostawił jednak w ludziach. Spotykam się z tym na każdym kroku w Biurze RPO. Współpracownicy wspominają go jako człowieka wysokiej kultury, a zarazem pełnego pasji i emocji. Potrafił iść własną drogą, nie unikał sporów z władzą i bardzo często potrafił wspiąć się ponad utarte schematy i podziały na scenie publicznej. Wielka szkoda, że nie mógł dokończyć swojej kadencji. Miał w planach nowe projekty. Między innymi chciał uczynić Katyń miejscem pojednania i spotkań Polaków i Rosjan, zwłaszcza młodzieży z obu krajów. Zginął właśnie w drodze na miejsce kaźni polskich oficerów. Wolność i równość obywateli. Poszanowanie praw innych i nieingerowanie w ich życie prywatne. Tolerancja wobec odmiennych poglądów, z wyjątkiem tolerowania dyskryminacji. Poszanowanie mniejszości i praw jednostki. Respektowanie swobód religijnych. Wolność prasy i zgromadzeń – oto podstawy ustroju demokratycznego Rzeczypospolitej Polskiej. Ostatnią decyzją Janusza Kochanowskiego jako rzecznika praw obywatelskich było wystosowanie apelu do Ombudsmansu Federacji Rosyjskiej, aby wspólnie uznać Katyń za miejsce pojednania i spotkań Polaków i Rosjan.



Maciej Płażyński

Był ciepłym ojcem, który pozwalał nam popełniać błędy i się na nich uczyć – mówi Jakub Płażyński, syn Macieja. – Nikt nie przypuszczał, że to takiej sytuacji może dojść. Do takiej katastrofy. Spadło to na nas jak grom z jasnego nieba – wspomina Jakub Płażyński. Tata był osobą, która chciała dawać swoim dzieciom swobodę. Ale też uczył, że za wszystkie decyzje ponosi się konsekwencje. Był zasadniczy, pryncypialny, miał wartości, którym był wierny. – Lubił ryzyko. Ale jednocześnie był bardzo rozważny – wspomina syn.

Minister, który służył armii



Aleksander Szczygło

Zawsze więcej był z nami niż na salonach, wśród polityków. To był minister, który służył armii, a nie partykularnym interesom partii czy jakiejś grupy politycznej – tak Aleksandra Szczygłę wspomina po latach gen. Waldemar Skrzypczak. Przed kamerami zawsze poważny, konkretny, żeby nie powiedzieć urzędniczy. W kontakcie bezpośrednim zmieniał oblicze. Był otwarty, dowcipny i szybko skracał dystans. Przede wszystkim potrafił słuchać. Nigdy nie był żołnierzem, ale czuł wojsko i chciał wojsko zrozumieć.

Czasami działał nieprzewidywalnie, zwłaszcza jak na ministra obrony narodowej. Generał Skrzypczak, były dowódca Wojsk Lądowych, wspomina, że zdarzały się sytuacje, kiedy minister dzwonił do niego i pytał: – Gdzie pan generał jest? – Ja mówię, że jestem na poligonie, a on przyjeżdżał do nas w ciągu dwóch godzin. To nie jest codzienne zjawisko, że minister nagle dzwoni i mówi, że za chwilę będzie. I co ja mogłem przygotować? Nie da się w takim czasie zagrabić trawników, zamieść ulicy i przygotować kompanii honorowej. Ale jemu to nie przeszkadzało. Po rozmowach na tematy wojskowe szliśmy jeszcze na obiad i nigdy nie był to inny obiad niż żołnierski. Brał tak samo, jak ja z kotła, nie lubił porcelany. Był osobą niezwykle naturalną i taką, która sprawiała wokół siebie aurę przyjacielskości, skracala dystans, nie puszyła się. Wydawał się człowiekiem spokojnym, którego niełatwo wytrącić z równowagi, to odczucie rzeczywiście odnajduje swe potwierdzenie we wspomnieniach jego bliskich współpracowników.

Czasami mówił „nie” albo „tak”, ale jego decyzje były zawsze merytorycznie uzasadnione. On nie zbijał swojego kapitału na tym, że wojsko „za nim chodziło”. Jego kapitałem było to, że potrafił sobie zaskarbić szacunek żołnierzy. I to nie podwyżkami, nie nagrodami, tylko po prostu swoją obecnością i otwartością. Bardzo go szanowałem i do dzisiaj szanuję jego pamięć.



Jarosław Florczak

Ochroniał najważniejsze osoby w państwie. Wszyscy mu ufali, bo był profesjonalistą. Do Smoleńska przybył z premierem Donaldem Tuskiem kilka dni przed głównymi uroczystościami. Miał zostać w Rosji, ale poprosił o powrót do Polski. Tam czekała na niego rodzina. 10. kwietnia wyleciał ponownie do Smoleńska, ale już nie wrócił. – Jego świeczka chyba miała wtedy zgasnąć.

Powierzano mu do realizacji i nadzoru najbardziej skomplikowane zadania. – Swoje obowiązki służbowe wykonywał z wielkim zaangażowaniem i poświęceniem, zawsze podejmując właściwe decyzje. Florczak został szefem sztabu działań ochronnych. Odpowiadał za wszystkie najważniejsze delegacje, które przyjeżdżały do naszego kraju. W 2009 roku, odpowiadał m.in. za 70. rocznicę wybuchu wojny światowej na Westerplatte. Na miejscu znajdowało się wówczas kilkadziesiąt najważniejszych osób w państwie. Zdaniem gen. Janickiego, „Florek” potrafił znakomicie współpracować ze wszystkimi służbami z całego świata. – Praca w BOR była jego drugim życiem. On tym żył i bardzo przeżywał. Ale nigdy nie przynosił pracy do domu.

Inspirował do działania



Czesław Cywiński

Tacie nie zależało na żadnych zaszczytach, na splendorach... O tym, w ilu organizacjach tata działał, dowiedziałam się dopiero po jego śmierci. A on chciał tylko, by „się działo”. I, dzięki niemu, działo się. Anna Cywińska, wspominając ojca, wysuwa na plan pierwszy. – To było niesłychane, że człowiek wykształcony na politechnice, miał tak ogromną wiedzę ogólną, takie zacięcie humanistyczne, że potrafił przekazać je swoim dzieciom, mnie i mojemu młodszemu bratu. – Poza tym, podobnie jak mój dziadek, nauczyciel akademicki, tata miał talent do uczenia młodego pokolenia. W pewnym momencie życia, gdy przeszedł na emeryturę, porwała go pasja historyczna, ponieważ do tego zobowiązało go jego życie... Uznał, że jego misją jest doprowadzenie do tego, by o Polskim Państwie Podziemnym, o akcji „Burza”, Powstaniu Warszawskim, o czasach wojny i tym, co działo się po wojnie, i o losach tych młodych ludzi, którzy walczyli, zawsze już pamiętano. Ojciec w domu rzadko dawał się namówić na opowieści z lat wojny, nieczęsto mówił też o swojej działalności społecznej. Jak pamiętam, gdy byliśmy z bratem młodszy, tata niechętnie opowiadał o tamtych czasach. A jeśli już, to mówił o jakiejś ciekawej akcji, niezwykłym wydarzeniu, to były takie historie, na przykład o zdobyciu broni czy magazynu... Uczył nas piosenek swojej brygady, uczył też, jak zachowywać się w trudnych sytuacjach i tego, że nigdy nie należy się poddawać. Ale nie możemy też zapominać, że do końca lat 80. nie było wskazane, by zbyt głośno przyznawać się do tego, że ktoś z rodziny był w Armii Krajowej. To było, o tym się wiedziało, ale tak jakby na marginesie. – To ich wyróżniało, to pokolenie... To poczucie obowiązku, pomagania innym. O tym się nie mówiło, to po prostu było. Na tym polegało bycie patriotą, ta praca u podstaw, to wspieranie się nawzajem, pomaganie w ciężkiej sytuacji. To bycie dla innych, nie tylko dla siebie. Chyba to było dla taty najbardziej charakterystyczne.



Anna Walentynowicz

Lech Wałęsa na zawsze pozostanie symbolem „Solidarności”, ale to od niej wszystko się zaczęło. Prosta suwnicowa z W-2 stała się iskrą, bez której w Gdańsku nie zapłonąłby ogień wolności.

Do emerytury zostało jej pięć miesięcy pracy, kiedy szefostwo gdańskiej Stoczni im. Lenina postanowiło wyrzucić ją z pracy. Nie był to pierwszy raz, kiedy takie groźby popłynęły w jej stronę ze strony dyrekcji zakładu. Jednak tym razem jak powiedzieli, tak zrobili. Był 8. sierpnia 1980 roku. To, co stało kilka dni później, zaskoczyło nawet ją samą. Najpierw w ruch idą ulotki, ale już po chwili w stoczni rozpoczyna się strajk.

Protestujący stawiają żądania, a wśród nich, na pierwszym miejscu, przywrócenie do pracy Anny Walentynowicz. Od tego zaczyna się polski Sierpień '80, a kolejne wydarzenia dzieją się już lawinowo. Historyk Sławomir Cenckiewicz nazywa ją >matką Solidarności<.

Pracę w stoczni rozpoczęła w 1950 roku, początkowo jako spawacz. Stocznia stała się dla niej praktycznie drugim domem. Szybko okazała się wzorowym pracownikiem – nagradzanym orderami i stawianym za wzór. W ZMP wytrzymała ledwie kilka miesięcy, do partii nie zapisała się nigdy.

Spółcznica naturalna, z głębokim przekonaniem, że o ludzi trzeba walczyć, z ludźmi trzeba być. Walcząca samotnie. (...) Zawsze skora do niesienia tej najprostszej pomocy, pozamiatania, umycia schodów – wspominał ją Jacek Kuroń. I taka właśnie była w pracy – dbała o innych i upominała się, gdy działa im się krzywda. W 1967 roku, domagała się wyjaśnień po tym, jak przewodniczący Rady Oddziałowej przywłaszczył sobie trzy tysiące złotych, które następnie przegrał w totolotka. Władze stoczni chciały sprawę zatuszować, ona pozostała nieugięta. Wtedy po raz pierwszy próbowano ją zwolnić z pracy, w jej obronie stanęła załoga. Nadchodził czas przełomowych wydarzeń na Wybrzeżu. Także z jej udziałem.

Podczas Grudnia '70 zaangażowała się w pomoc dla strajkujących robotników. Od tej pory była już pod czujnym okiem bezpieki. Nie mniej istotna jest rola, jaką odegrała 16. sierpnia. Wtedy strajkujący stoczniowcy osiągnęli porozumienie z władzami stoczni. Wywalczyli to, o co zabiegali, w tym powrót do pracy Walentynowicz. Ogłoszono zakończenie protestu. Wtedy do akcji wkroczyły kobiety, z Aliną Pieńkowską na czele. W tym gronie nie mogło zabraknąć i Walentynowicz. Przypomniały o tym, że gra toczy się o coś więcej. Bo strajk ogarnął już wtedy nie tylko gdańską stocznę. Zatrzymują ludzi i na nowo wzniecają strajkowy ogień. Zakłady łączą siły, wkrótce powstaje 21 postulatów. Władze w Warszawie nie mają wyjścia, siadają do rozmów. Tak rodzi się „Solidarność”. To były chwile jej triumfu.

Jeszcze w 1981 roku, Służba Bezpieczeństwa podjęła próbę jej otrucia. W czasie stanu wojennego była internowana, potem wielokrotnie zatrzymywana, aresztowana i skazywana. Ale presji nie uległa.

Drogi jej i „Solidarności” pod wodzą Wałęsy coraz bardziej się rozchodziły. Ich spór wkrótce urósł do rozmiarów symbolu podziałów.

Choć często pozostawała na uboczu i w cieniu innych legend „Solidarności”, to polskie państwo uhonorowało ją w najgodniejszy możliwy sposób. W 2006 roku, z rąk prezydenta Lecha Kaczyńskiego odebrała Order Orła Białego. Tuż po ceremonii przyznała, że nie spodziewała się tego wyróżnienia. Czuła dumę, ale i olbrzymie zobowiązanie. Zwróciła się wtedy też z apelem do młodych ludzi – by nie zaprzepaścili pracy tysięcy ludzi pierwszej „Solidarności”. Jej marzeniem było, by kolejne pokolenia stworzyły solidarność ludzkich serc.

Wsiadła na pokład prezydenckiego tupolewa 10. kwietnia 2010 roku. Leciąca oddać hołd zamordowanym w Katyniu. To była jej ostatnia misja. Gdy wróciła do kraju, żegnały ją setki ludzi. Jako legenda Solidarności stała się ucieleśnieniem pierwszego niezależnego ruchu związkowego i symbolem zmagania o godność zwykłego człowieka. (...) Jej śmierć w katastrofie smoleńskiej pozostała niewysłowioną stratą dla Polski i Polaków.



Franciszek Gągor

Spokojny jak miejscowość, z której pochodził. Silny ciszą – mówili o nim jego podwładni. Żołnierz, mąż, ojciec, człowiek. Do dziś pamiętają o nim wszyscy, którzy kiedykolwiek mieli okazję spotkać go w swoim życiu. – Poprzeczkę zawsze stawiał sobie coraz wyżej.

Rok 1969. Franciszkowi udaje się dostać na wymarzone studia. Ukończył je cztery lata później. Wtedy trafił do Opola – najpierw jako dowódca plutonu, a później kompanii rozpoznania. Jego współpracownicy mówili, że był nietypowym dowódcą. Umiał się dogadać z politykami, a wojsko było dla niego pracą, służbą – nie przywilejem i nie zabawą. W każdym widział żołnierza, podwładnego i człowieka. – Wojsko go nie zmieniło, może on zmienił trochę wojsko?. Gągor służył na misjach zagranicznych w Egipcie, Syrii, Iraku i Kuwejcie. Poza granicami kraju spędził 28 lat – pnąc się w hierarchii wojskowej, zdobywając zaufanie i otrzymując coraz ważniejsze misje. W 2006 roku, z rąk prezydenta Lecha Kaczyńskiego otrzymał nominację na stanowisko szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Trzy lata później głowa państwa ponownie powierzyła mu to zadanie. – Okazał się pan nie tylko znakomitym wojskowym dyplomata, ale i bardzo dobrym dowódcą.

– Franiu był pięknym człowiekiem. To wielka strata i tak mi smutno, że „był”.

Zaufać przeznaczeniu



Arkadiusz Protasiuk

Zdolny, skromny i bardzo lubiany. Od zawsze wiedział, że będzie lotnikiem. Był dowódcą załogi samolotu, który 10. kwietnia rozbił się pod Smoleńskiem. Krótco po jego śmierci syn Mikołaj nie umiał się rozstać z plecakiem ojca. Pilot zostawił go w holu domu przed feralnym lotem. Do dziś najbliżsi przekonują, że czują, jakby Arek chciał im „coś powiedzieć”. Tak jakby nastolatek wyszedł z domu i miał za chwilę wrócić.

Arkadiusz dosyć szybko wyfrunął z domu. Liceum lotnicze w Dęblinie było przeznaczeniem człowieka, który marzył o lataniu. Protasiuk poszedł za ciosem i ukończył także Wyższą Szkołę Oficerską Sił Powietrznych w Dęblinie. Później jeszcze zdobył dyplom Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Był też absolwentem Wydziału Cybernetyki Wojskowej Akademii Technicznej. Prymus, Szprota, Protas. Przez 36 lat życia, Arek dorobił się wielu określeń, przezwisk i ksywek. – Zawsze dbał o kondycję – podkreślają z dumą rodzice w kilku udzielonych dla mediów wywiadach. Dziś prasy unikają. We wrześniu 2011 roku, w Olsztynie odsłonięto pomnik poświęcony dwóm pilotom związanym z miastem, którzy zginęli w katastrofach lotniczych: płk. Zdzisławowi Cieślakowi i mjr. Arkadiuszowi Protasiukowi, który pośmiertnie został awansowany do stopnia majora. Władysław Protasiuk: Zaraz po katastrofie Arek śnił mi się prawie codziennie: coś razem robiliśmy, gdzieś jechaliśmy. Niestety, to tylko sny. Nigdy już nie porozmawiamy, nie spotkamy się przy świątecznym stole... Nie ma nic gorszego, gdy rodzice muszą pochować swoje dziecko. To nie tak miało być.



Janusz Zakrzeński

Był dumny z tego, że pochodził z małego Przededworza pod Chmielnikiem. Wybitny aktor obdarzony cudownym głosem i arystokratycznym wyglądem. Do tego wspaniały gawędziarz i miłośnik racuchów z jabłkami. – Takich ludzi już nie ma. To był człowiek niepowtarzalny. Ja nie chcę powiedzieć, że był najlepszy spośród wszystkich, ale może najbardziej oryginalny. Miał w sobie to coś – tak Janusza Zakrzeńskiego wspomina jego przyjaciel i były burmistrz Chmielnika Jarosław Zatorski. – Pan Janusz reprezentował tę generację ludzi, których już nie ma. To chyba był jeden z ostatnich prawdziwych ziemianinów, czyli ludzi, którzy przed i po wojnie żyli jeszcze wspomnieniami przedwojnia. Takich panów na włościach.

Zakrzeński przede wszystkim był znanym aktorem teatralnym i filmowym. Na scenie zadebiutował rolą Hektora w „Troilusie i Kresydzie” Szekspira. Później były teatry Polski, Nowy i Narodowy. Od 1985 był aktorem Teatru Polskiego w Warszawie. Rozgłos przyniosły mu jednak role marszałka Józefa Piłsudskiego w filmie „Polonia Restituta” czy Benedykta Korczyńskiego w „Nad Niemnem”.

– W aktorstwie może nie do końca się odnalazł, bo został zasufladkowany i kilka ról zdecydowało o jego życiu, ale myślę, że to był wybitny talent aktorski. – Nie wiem chociażby, dlaczego nie znalazł się w filmach Hoffmana. Nie bardzo to rozumiem, bo on pasował do tych ról. Jeśli Władysław Hańcza miał ten cudowny głos i arystokratyczny wygląd, to Janusz Zakrzeński dorównywał mu pod tym względem.

Jego megalomania polegała na tym, co dzisiaj się zauważa wszem wobec w różnych grupach rekonstrukcyjnych. Z czasem obecność w takiej grupie, utwierdza tego faceta w przekonaniu, że on jest rotmistrzem albo generałem, bo ma mundur czy szablę. I pan Janusz w pewnym momencie też w ten zaulek wpadł. On uwierzył, że jeśli nie jest Piłsudskim, to mu mało brakuje. To było panisko.

21. kwietnia, w bazylice archikatedralnej św. Jana Chrzciciela w Warszawie odbyło się nabożeństwo żałobne w intencji aktora, który został później pochowany na Cmentarzu Powązkowskim. Niespełna miesiąc później na cmentarzu w Chmielniku odsłonięto pomnik poświęcony pamięci Janusza Zakrzeńskiego, który ustawiono obok grobu jego dziadków.

– Janusz nie chciał jechać do tego Katynia, ale prezydent, a właściwie chyba pan Stasiak, szef kancelarii, nie wyobrażał sobie, żeby ktoś inny mógł te listy wtedy czytać. To były listy żołnierzy do rodzin – wspomina Jarosław Zatorski. – Takich ludzi już nie ma. To był człowiek niepowtarzalny. Ja nie chcę powiedzieć, że był najlepszy spośród wszystkich, ale może najbardziej oryginalny. Miał w sobie to coś – dodaje.

Nie wyobrażam sobie, żeby nie przyjeżdżał do Chmielnika. Jeśli dzisiaj nie gościłbym go w Chmielniku, bo to jest niemożliwe, to na pewno gościłbym go w Busku-Zdroju, gdzie pracuję. W sanatorium byśmy rozprawiali o starych dobrych czasach, a on nadal byłby Piłsudskim, chodziłby w maciejówce i robilibyśmy piękne spektakle w Parku Zdrojowym, bo w sumie miałby w tej chwili dopiero 82 lata, a on mówił, że ze stowy nie schodzi – kończy rozmowę Zatorski.



Krystyna Bochenek

Krystyna miała w sobie niezwykłą siłę, skuteczność i ogromną pracowitość. Nigdy nie odpuszczała, nie można jej było wmówić, że się nie da. Dla niej zawsze się dało. Jak nie z prawej, to z lewej. A co ze słynnymi już Zjazdami Krystyn. Corocznie gromadzą kobiety o tym imieniu z całej Polski. Niedawno kilkaset Krystyn obchodziło swoje imieniny w Olsztynie... Krystyna Bochenek – dziennikarka, polityk, wicemarszałek Senatu VII kadencji. Zginęła 10. kwietnia 2010 roku w katastrofie pod Smoleńskiem. Była inicjatorką wielu wydarzeń i akcji społecznych, takich jak m.in. Ogólnopolskie Dyktando, Zjazd Krystyn, spotkania medyczne i charytatywne. Jej działania są kontynuowane m.in. przez Fundację im. Krystyny Bochenek.

Ulek. Człowiek nie z tego Smoleńska



Marek Uleryk

Cichy, skromny i niekonfliktowy chłopak najpierw został mistrzem Polski w wieloboju spadochronowym, a później otrzymał jedną z najbardziej prestiżowych posad w swojej branży – został ochroniarzem Marii Kaczyńskiej. Mimo to Uleryk nigdy nie czuł się nikim lepszym od innych. Do śmierci pozostał spokojnym „Ulkiem”, który w wolnych chwilach uciekał za miasto i którego pierwsza dama otoczyła szczególną troską. W BOR nie wziął się z przypadku. Zdał pomyślnie testy i zaczął pracę w Biurze. Razem z dziewczyną przeprowadził się na warszawski Ursynów. Najpierw zabezpieczał przede wszystkim prezydencki pałac, potem przeszedł szkolenie z ochrony osobistej. Gdy trafił do Biura Ochrony Rządu, wydawał się jak inni funkcjonariusze przyjęci do służby. Jednak bardzo szybko okazał się osobą bardzo ambitną, cierpliwą, z wysoką kulturą osobistą oraz sprawnością fizyczną. Jego predyspozycje oraz wyszkolenie pozwoliły mu zostać oficerem ochrony bezpośredniej, gdzie trafiają tylko najlepsi funkcjonariusze.

Zdaniem niektórych, Kaczyńska była wręcz dla funkcjonariuszy drugą matką. Podczas każdego wyjazdu dbała o to, by mieli dobre warunki. Interesowała ją to, czy mają ciepło w pokojach i czy nie chodzą głodni. Bardzo się polubili. Dlatego wszyscy mówią o niej dobrze do dziś. „Ulka” polubiła szczególnie.

Dla niego Polska była czymś bardzo ważnym. Miał pragnienie wolności, pełnej niepodległości w myśleniu i działaniu. Był człowiekiem wyprostowanym, z czołem uniesionym do góry i z godnością którą nosił w sobie – wspomina Wojciech Butkiewicz, działacz podziemia antykomunistycznego.



Janusz Krupski

Janusz był człowiekiem, który bardzo jasno widział Polskę na tle geopolitycznej sytuacji tej części Europy. Wiedział, że Polska nie będzie mogła się wyzwolić z pęt komunizmu, jeśli nie zrobią tego również inne kraje bloku wschodniego. Istotne dla jego postawy było również wychowanie i tradycja, jakie wyniósł z domu. Jego rodzina była taką polską rodziną robotniczą z tradycjami, a dodatkowo Janusz studiował historię na KUL. Nie jest to bez znaczenia, bo to był ośrodek wolnej myśli akademickiej ze wspierającą kadrą profesorów. Miał absolutnie jasną wizję Polski, jej niepodległości, i wspomnianej sytuacji geopolitycznej. I miał oczywiście ogromną wiedzę historyczną. Od artykułu wstępnego w pierwszym numerze „Spotkań” konsekwentnie realizował politykę wychodzenia do innych narodów, które były zniewolone przez system komunistyczny i Sowietów. Także i dlatego pismo „Spotkania” poświęcone było również sytuacji narodów w innych krajach socjalistycznych. Uczciwość i wierność wartościom chrześcijańskim i patriotycznym. Dla niego Polska była czymś bardzo ważnym. I miał pragnienie wolności, pełnej niepodległości w myśleniu i działaniu. Wszystko, co robił w życiu, było realizowaniem tego depozytu, który ludzie walczący o niepodległość Polski nam zostawili. I kiedy przyszedł ten moment, że można było jeszcze tym ludziom jakoś podziękować, wyrazić naszą wdzięczność, to on to robił. Dbał o to, by pamięć o tych ludziach została utrwalona, przetrwała w pamięci kolejnych pokoleń.

Uczył: jesteśmy ludźmi wolnymi



Janusz Kurtyka

Tytan pracy, wierny i oddany swoim ideałom – to słyszy się najczęściej od współpracowników i przyjaciół. Po latach kierowania oddziałem krakowskim, wygrał konkurs na prezesa IPN.

Jako student historii na UJ, rozpoczął swoją działalność wolnościową: najpierw współtworzył na uczelni NZS, później – konspiracyjną Podziemną Radę Programową NZS. Odpowiadał w niej m.in. za kolportaż bibuły i podsłuchiwanie ZOMO, napisał też poradnik „ABC konspiratora”, który wykorzystywały i modyfikowały potem struktury podziemia.

Za sprawą Kurtyki, IPN w znacznie większym stopniu zajął się badaniem historii PRL. Szczególną aktywność wykazywał w ujawnianiu dokumentacji tajnych służb wojskowych oraz doprowadził do powołania w archiwum osobnej komórki zajmującej się badaniami i edycją źródeł. Wtedy też powstał pion lustracyjny, który weryfikował oświadczenia funkcjonariuszy o współpracy z SB. Właśnie to pole działalności wzbudzało najwięcej kontrowersji wokół IPN pod rządami Kurtyki. Pojawiały się zarzuty, że prezes prowadzi „grę teczkami”, by w kolejnych wyborach na szefa skreślić kandydaturę Andrzeja Przewoźnika. W Polsce toczy się wciąż wojna o interpretację przeszłości i zaczerpnienie wizerunku instytutu jest jej elementem, bowiem aktywność merytoryczna IPN utrudnia forsowanie twierdzeń sprzecznych z rzeczywistością historyczną. Instytut musi zrobić wszystko, aby proces przywracania pamięci historycznej Polakom był oparty na wolnej debacie i nieskrępowanym dostępie do materiałów archiwalnych.

Na Pawła zawsze można było liczyć. Był niezwykle człowiekiem i przyjacielem. Trudno znaleźć nawet wśród przeciwników politycznych ludzi, którzy mówiliby o nim źle. Za to wielu do dzisiaj go dobrze wspomina. Miał własne poglądy, którym do końca był wierny – pisze jego przyjaciel Adam Kwiatkowski.



Paweł Wypych

Nawet w tych rozhuśtanych czasach, kiedy emocje biorą górę, a podziały polityczne powodują, że czegoś nie można powiedzieć – on się po prostu nie bał i realizował swoje cele. W Kancelarii Prezydenta prof. Lecha Kaczyńskiego nazywano go ministrem pierwszego kontaktu; dla niego rzeczy na pierwszy rzut oka niemożliwe stawały się realne. Takich ludzi, jak on nie da się zastąpić. Bardzo go dziś brakuje...

Niepodległość. Coś oczywistego

Nie był wesółkiem. To był gość, który podchodził do życia bardzo poważnie, a treścią jego życia była służba Polsce – wspomina Przemysław Miśkiewicz, kolega z czasów, gdy byli działaczami w NZS.



Sławomir Skrzypek

– Wszyscy mieliśmy poczucie, że uczestniczyliśmy w czymś ważnym i robiliśmy to, co do nas należało, ale Sławek mówił o niepodległości jak o rzeczy, która jest zupełnie oczywista i przyjdzie lada moment. Był piłsudczykiem i niepodległościowcem i nigdy nie wątpił, że komunizm jest tylko epizodem w historii Polski. Nawiązał współpracę z Konfederacją Polski Niepodległej. Powołał do życia Grupę Młodzieżową KPN, którą zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego przekształcono w Młodzieżowy Ruch Oporu „Solidarność”. Angażował się w kolportaż podziemnych wydawnictw, malował hasła na murach, brał udział w demonstracjach. Cała ta aktywność nie przeszkodziła mu w zdobywaniu dobrych ocen i wygraniu olimpiady przedmiotowej, dzięki której zapewnił sobie miejsce na wyższej uczelni. Kilka tygodni po maturze został zatrzymany. Podczas przeszukania ujawniono dużą ilość materiałów propagandowych: deklaracje ideowe ruchu i nielegalne wydawnictwa. Wojskowa Prokuratura Garnizonowa w Gliwicach postanowiła o jego aresztowaniu. W uzasadnieniu napisano, że maturzysta podejrzany jest o kierowanie związkiem Młodzieżowy Ruch Oporu „Solidarność” w Katowicach. Skrzypka, po dość groteskowym procesie, skazano na dwa lata więzienia w zawieszeniu na pięć. Dodatkowo oddano go pod dozór kuratora i zarządzono 60 tys. złotych grzywny. Zwolnienie z aresztu nastąpiło dopiero 3. listopada 1982 roku. Ostatecznie, późniejszy prezes NBP, podjął studia na Wydziale Budownictwa Politechniki Śląskiej w Gliwicach... Kariera Skrzypka związana była z braćmi Kaczyńskimi. Jarosław Kaczyński, który poznał późniejszego szefa banku centralnego na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, wspomina go jako „skoncentrowanego, skupionego, o sprecyzowanej wizji tego, co chce w życiu robić”. W 2002 roku, Lech Kaczyński został prezydentem Warszawy, a na swojego zastępcę wybrał Skrzypka. Następnie został szefem NBP. Obejmując urząd i składając przysięgę, powiedział: „Zrobię wszystko, żeby ci, którzy nie chcieli mnie poprzeć, w przyszłości uznali, że właściwie spełniam swoją funkcję”. Magazyn „Global Finance” w 2009 roku, uznał Skrzypka za jednego z najlepszych szefów banków centralnych na świecie.

Był miły, przyjacielski. Zakochany w swojej rodzinie, dzieciach... Dotrzymywał słowa, pochylał się nad kłopotami innych. Jeśli coś przyrzekł, to zawsze realizował – wspomina Jadwiga Gosiewska. 10. kwietnia 2010 roku, w katastrofie smoleńskiej zginął jej ukochany syn Przemysław Gosiewski.



Przemysław Gosiewski

Pojechaliśmy do Darłowa, by wysłuchać niezwyklej opowieści o zmarłym polityku, byłym wicepremierze i pośle Prawa i Sprawiedliwości. Dom jego rodziców to swego rodzaju sanktuarium. Przemysław Gosiewski – wicepremier, poseł, przewodniczący Klubu Parlamentarnego PiS. W latach 80. m.in. członek Niezależnego Zrzeszenia Studentów. W wolnej Polsce polityk Porozumienia Centrum i PiS. Bliski współpracownik Lecha i Jarosława Kaczyńskich.

Przyjaźń na cztery głosy

Widać było, że to człowiek myślący o Polsce cały czas – wiem, że te słowa zabrzmiały słabo, z jakimś zadęciem, patosem, a postawa Władka była od tego jak najdalsza – mówi Piotr Gomułkiewicz. Dariusz Ściepuro wspomina: Myślał o przyjaciółach najpierw, a dopiero później o sobie. Gdyby stało się coś niedobrego i miałbym wybrać z grona stu osób jedną, do której mógłbym się niezawodnie zwrócić – „uderzałbym” właśnie do Władka.



Władysław Stasiak

W przededniu rocznicy katastrofy smoleńskiej ministra Władysława Stasiaka wspominają jego przyjaciele. Wszyscy poznawali Stasiaka w rodzinnym Wrocławiu w czasach szkolnych i studenckich. Wspomnienia przyjaciół pokazują kompetentnego urzędnika, opiekuńczego syna, poliglotę i pasjonata podróży oraz kultury Ameryki Południowej.

Paweł Wrabec: Od początku był rogatą duszą. W pierwszej klasie podstawówki – Władek szybko podpadł nauczycielowi i musiał zmienić klasę. Znow się spotkaliśmy na początku liceum i historia się powtórzyła. Mniej więcej wtedy zaczęliśmy działać w UKOS-ie – Uczniowskim Komitecie Odnowy Społecznej.

Paweł Skrzywanek: Na fali przemian „Solidarności” młodzież wrocławskich liceów postanowiła zmienić coś w swoim otoczeniu, np. postulowała wprowadzenie prawdziwych samorządów szkolnych i klasowych – to była nowość. Wiele przyjaźni i znajomości sprzed przeszło 30. lat przetrwało do dziś. Byliśmy z Władkiem w Gdańsku podczas obrad I Zjazdu „Solidarności” – równolegle odbywał się zjazd opozycyjnych organizacji młodzieżowych.

To był człowiek, który całym sobą pokazywał klasę, doświadczenie, ogładę. Wyróżniał się, wyglądał jak brytyjski gentleman. I miał typowo brytyjskie poczucie humoru.



Stanisław Komorowski

Perfekcyjnie znał języki obce. Świetnie prowadził negocjacje z USA. Amerykanie stawiali go jako wzór do naśladowania. Mówili, że właśnie tak należy prowadzić rozmowy. – Po prostu zawodowiec, profesjonalista w każdym calu. Rozdzielał kwestie życia prywatnego i zawodowego, ale pracy w resorcie poświęcał się w stu procentach.

Najgorszy był jej milczący telefon. Chciałam do niej zadzwonić



Izabela Jaruga-Nowacka

Nudzą panią pytania o matkę przy kolejnych rocznicach katastrofy?

Barbara Nowacka: Przeciwnie, brak mi ich. Najczęściej jestem pytana o bieżącą politykę, o pomnik, o szaleństwo Macierewicza czy nieszczęsną tablicę w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, na której nie widnieje nazwisko matki, mimo że była wicepremierką. Na szczęście ominęły mnie bolesne pytania o ekshumację. Jednak o to, kim była, jaka była pytań jest coraz mniej. Kogo interesują wspomnienia? Ważniejsze są codzienne bitewki. Minęło osiem lat, to dość czasu, żeby zdać sobie sprawę, że naprawdę nie ma jej w moim życiu. Prowadzę z nią już tylko monologi, ale też czuję, że przestrzeń po niej wypełniła się innymi ludźmi, jej postać rozmywa się. Jednak co tydzień jestem na cmentarzu, najczęściej z ojcem, czasami z dziećmi, z siostrą. W ubiegłą niedzielę akurat byłam sama i ta pierwsza myśl jak zwykle: „Matka, co wyprawiasz! Czemu jeżdżę do ciebie na cmentarz?”. Wspomnienia nie boją, bo są wspaniałe. Pustka boli. My często ze sobą rozmawiałyśmy, miałyśmy też swoje sposoby na krótkie spotkania. Kiedy przejeżdżałam koło KPRM, uprzedzałam telefonem i matka czasami wychylała się z okna. Albo po urodzeniu syna chodziłam z wózkiem w pobliże Sejmu i tam na siebie wpadałyśmy. Matka umiała też zadbać o drobiazgi – takie prezenciki, coś zawsze podrzucała – gorzką czekoladę, którą lubię, jabłka dla Kubę, książkę, którą skończyła czytać i uważała, że ja też powinnam. Zawsze znalazła na to czas, umiała się koncentrować na innych. No i tego teraz już nie ma. Matka doprowadziła do załatwienia drobnych, ale istotnych spraw: dożywianie dzieci w szkołach, wpuszczenie psów przewodników do wszystkich miejsc z ich właścicielami, podpisania przez Polskę Zrewidowanej Europejskiej Karty Społecznej, obniżenia składki ZUS dla osób rozpoczynających działalność gospodarczą. Ale to tylko drobna część jej działalności, do tego przecież trzeba dodać wieloletnią pracę nad zrównaniem praw kobiet i wspieranie środowisk LGBT.

Nasze życie bez Andrzeja jest inne, naznaczone ciągłą tęsknotą za Kimś, kto jest ciągle tak bardzo bliski i kogo ciągle tak mocno kochamy. Bardzo boli świadomość, że Jego odejście stało się faktem nieodwracalnym... – piszą we wspólnym tekście: żona i synowie wiceszefa MSZ Andrzeja Kremera.



Andrzej Kremer

Trudno uwierzyć, że mija już 8 lat od tragicznego dnia – dnia w którym zawalił się nasz świat. Andrzej, wierny do końca swej pracy w dyplomacji, do Smoleńska odbył dwa loty: 7. kwietnia z premierem Tuskiem oraz 10. kwietnia z prezydentem Kaczyńskim. Niestety, z tej drugiej podróży nie wrócił. Każdego dnia od tamtej pory brakuje nam bardzo Andrzeja – męża, taty, brata. Pamiętamy Go jako człowieka, który nie bał się wyzwać życiowych i który nie poprzestawał na tym, co osiągnął w danym momencie.

Ostatnie spojrzenie w oczy

Samorządowiec, poseł oraz lekarz weterynarii. Zanim Deptuła wszedł do wielkiej polityki, jeździł po wsiach, gdzie zajmował się leczeniem zwierząt. Pomagał każdemu, nawet kiedy został marszałkiem, a później posłem. Niewiele brakowało, by 10. kwietnia 2010 roku do samolotu wszedł nie on, a jego kolega z Klubu Poselskiego Polskiego Stronnictwa Ludowego.



Leszek Deptuła

Zdaniem współpracowników Leszek Deptuła był bardzo pracowitym i zaangażowanym człowiekiem. Kiedy pełnił funkcję marszałka województwa podkarpackiego, najwięcej swojej uwagi poświęcał sprawom lokalnym. Mówi o tym między innymi poseł Polskiego Stronnictwa Ludowego Mieczysław Kasprzak. – Miał dobre pomysły na rozwój województwa podkarpackiego. Był bardzo dobrym marszałkiem – podkreśla parlamentarzysta. Jednak zanim został samorządowcem i na dobre wszedł do polityki, przyszły poseł miał zupełnie inne zajęcie. W 1978, ukończył studia na Wydziale Weterynaryjnym Akademii Rolniczej w Lublinie i do 2002 pracował jako lekarz weterynarii w Lecznicy dla Zwierząt w Wadowicach Dolnych. – Podczas jednego z naszych pierwszych spotkań zobaczyłem go w zwykłych portkach i ubłoconych butach. Okazało się, że jeździł po gospodarstwach rolnych i szczepił zwierzęta. To był normalny chłop, a nie polityk, który chodzi tylko w krawacie. Deptuła rozpoczął swoją przygodę z polityką od samorządu. Najpierw pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Rady Gminy Wadowice Górne, aż w 2002 został wybrany na marszałka województwa podkarpackiego. Rok wcześniej próbował swoich sił w wyborach parlamentarnych, jednak nie udało mu się wejść do Sejmu. Marszałkiem był do 2006 roku, natomiast rok później uzyskał mandat z listy Polskiego Stronnictwa Ludowego. Bez powodzenia startował również w wyborach do Parlamentu Europejskiego.

Czasem zastanawiam się, czy gdybym nie był wtedy u Mariusza w mieszkaniu, to może nie przyjąłby propozycji pracy u prezydenta Kaczyńskiego. A gdyby jej nie przyjął, to nie poleciałby do Smoleńska... – pisze o zmarłym Mariuszu Handzliku Bartosz Węglarczyk.



Mariusz Handzlik

Handzlik był dla mnie ideałem urzędnika państwowego. Mało o Polsce mówił, ale bardzo dużo dla niej robił. Pracę stawiał w swoim życiu na miejscu pierwszym, co dla kraju było rozwiązaniem idealnym, dla rodziny – nieco mniej. Był niezwykle ważnym ogniwem najlepszej grupy roboczej, jaka kiedykolwiek zebrała się w jednym miejscu w polskiej dyplomacji po 1989 roku. Na jej czele stał ambasador Jerzy Koźmiński, a znaleźli się w niej młodszy i starszy stażem dyplomaci z Ambasady RP w Waszyngtonie. Grupa miała jedno zadanie – przekonać Amerykanów, że warto wprowadzić Polskę do NATO. Dziś to zadanie wygląda na proste. W latach 90., gdy Mariusz pracował w ambasadzie jako radca, było zadaniem tytanicznym. A w połowie lat 90., wielu wydawało się wręcz zadaniem niemożliwym, o czym zresztą przekonana była wówczas nie tylko część polskiej dyplomacji, ale także mediów...

My wciąż jesteśmy razem

Gdy stanąłem przed drzwiami domu Magdaleny Merty, wdowy po wiceministrze kultury Tomaszu Mercie, pierwsza w oczy rzuciła mi się tabliczka. Taka zwykła, jakich tysiące, informuje o tym, kto mieszka za drzwiami polskich domów. Na tabliczce, oprócz nazwiska, wciąż znajdują się dwa inicjały: M. i T.



Tomasz Merta

Choć od katastrofy minęło osiem lat, Magdalena Merta nigdy nie zdecydowała się jej wymienić. W gabinecie Tomasza też wszystko wygląda tak, jakby gospodarz nadal w nim urzędował. Książki, płyty, zestaw stereo. Przybyło tylko kilka modeli słynnych budowli świata, które najmłodsza córka kleiła po śmierci taty i zanosila mu na biurko. W domu Mertów wiele znaków mówi, że dla jego domowników gospodarz wyszedł tylko na chwilę i zaraz będzie z powrotem. Jednak rozmowa z Magdaleną Mertą to nie tylko zapis wspomnień żony urzędnika, który 10. kwietnia wychodzi z domu na parę godzin i już nigdy do niego nie wraca. To opowieść kobiety, która tego feralnego dnia straciła wszystko, co najcenniejsze. I która do dziś nie potrafi się z tą stratą pogodzić.



Grzegorz Dolniak

W tekście wspominkowym powinno poświęcić się wiele miejsca osiągnięciom i sukcesom. Od tej reguły świadomie należy tutaj jednak odstąpić. Gdy pytam bowiem o Grzegorza Dolniaka, najczęściej w odpowiedzi słyszę o niezwyklej pracowitości, skromności i normalności. I właśnie o tym mówi Patrycja Dolniak, córka posła. W każdym zdaniu, które płynie od pani Patrycji, słysząc wielkie emocje. Mija osiem lat, ale pustka w jej sercu będzie zawsze, bo – jak mówi – „Grzegorz Dolniak był po prostu moim Tatą”. – To, że podziwiałam go za jego pracę i sukcesy, nie zmienia postaci rzeczy, że najważniejsze dla mnie były jego cechy jako człowieka, którego znałam z codziennego życia. Który był po prostu moim najlepszym przyjacielem, autorytetem i na którego zawsze mogłam liczyć – mówi córka polityka, który przez całe życie związany był z Będzinem. Pytana o małżeństwo Grzegorza Dolniaka i Barbary Dolniak (wicemarszałek Sejmu, posłanki Nowoczesnej) mówi wprost: „to był związek ludzi dobranych idealnie”. – Takich, którzy świetnie się uzupełniali i bezgranicznie kochali – przekonuje córka, która waży słowa. Ona, jak i jej matka wielokrotnie podkreślały, że o śmierci najważniejszej osoby w ich życiu nie chcą mówić zbyt wiele.

Myśmy od początku bardzo chroniły naszą prywatność, nasz sposób przeżywania tej katastrofy. Odszedł najbliższy nam człowiek. To chyba wystarczy za wszystkie słowa – mówiła przed laty Barbara Dolniak. – Śmierć mojego męża nie jest tematem do publicznych debat i wynurzeń – dodawała. Bo przecież panie Dolniak, podobnie jak śp. Grzegorz, wychodzą z założenia, że świat można zmieniać działaniami. Dlatego też powołały fundację.

Przez dwa lata brałam za telefon i próbowałam zadzwonić do mamy



Grażyna Gęsicka

Sądziłyśmy, że będziemy mieć jeszcze mnóstwo czasu, żeby przegadać „poważniejsze tematy”. Był taki pomysł, że kupimy mały domek, zabierzemy jeszcze do siebie babcię z Olsztyna i wieczorami będziemy sobie tam siadywać i po prostu rozmawiać. Teraz to już niemożliwe – mówi Klara Gęsicka-Bąk, córka Grażyny Gęsickiej. Mama zawsze będzie mamą, nawet kiedy zostaje ministrem. Zaczęło to do mnie docierać, kiedy po raz pierwszy mój telefon na komórkę mamy odebrała jej sekretarka. Zaproponowała, że mogę coś powiedzieć do niej, a ona to przekaże, jak mama będzie mieć wolną chwilę. Tak naprawdę zorientowałam się dopiero po katastrofie. Zaczęli się do mnie wtedy odzywać przeróżni ludzie, którzy ją znali i chcieli mi powiedzieć coś ważnego na temat mamy albo podziękować za to, co zrobiła – dla nich osobiście czy dla kraju.

Jego pasją było bieganie. Meta najważniejszego maratonu nazywanego życiem okazała się dla niego leżeć w Smoleńsku. Kapitan Dariusz Michałowski służył w Biurze Ochrony Rządu. 10. kwietnia 2010 roku znajdował się wśród 96. pasażerów samolotu Tu-154. – Samolot ich połączył, a dziś samolot ich rozdzielił – powiedział mistrz ceremonii Miązek, stojąc nad trumną 35-letniego kapitana Dariusza Michałowskiego. Nawiązywał do tego, że Michałowski i jego narzeczona Justyna poznali się podczas służby w Biurze Ochrony Rządu. Oboje zafascynowani techniką wojskową i lotnictwem. Dzień katastrofy smoleńskiej stał się dla Justyny końcem obecności, początkiem braku. Straciła kogoś, kto był całym życiem. Wiedziała, że nie będzie już codziennych rytuałów, które ich łączyły. W swoim liście pożegnalnym zwróciła się do zmarłego partnera, pisząc, że „kawa, którą podawałeś mi do łóżka, straciła smak”. W trakcie pogrzebu do dołu z trumną wrzuciła białego, pluszowego misia. Śmierć Michałowskiego to również cios dla samego BOR. Był jednym z bardziej doświadczonych funkcjonariuszy.



Dariusz Michałowski

To oddanie i wspomnianą sprawność docenili nie tylko inni funkcjonariusze. Prezydenta Kwaśniewskiego chronił z takim zaangażowaniem, że został za to odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi. Po katastrofie przyznano mu też Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski i awansowano na stopień majora w BOR.

Obietnica silniejsza niż strach



Sebastian Karpiniuk

Sebastian Karpiniuk miał perspektywę zostania szefem zachodniopomorskiej PO. Najbliżsi znajomi mówili o nim „Żelek”. Jego włosy zawsze były idealnie ułożone, garnitur idealnie dopasowany, a krawat perfekcyjnie zawiązany. Do tego czarny notes, z którym nigdy się nie rozstawał. To w nim notował wszystkie najważniejsze daty i informacje. „To była ogromna samodyscyplina” – wspominają najbliżsi. Do każdej konferencji przygotował się przez długi czas. Był dobrym przyjacielem, świetnym talentem politycznym. On miał talent do polityki. Słowa Bronisława Komorowskiego już po śmierci Sebastiana: „Szkoda, że nie ma z nami Sebastiana. Szkoda, że nie ma więcej takich Sebastianów. Był świetnym politykiem, a jeszcze lepszym człowiekiem”.



Arkadiusz Rybicki

Jak miał być obrońcą, to był obrońcą. Jak miał zostać na ławce rezerwowych, to tak właśnie było. Był naprawdę zawodnikiem zespołowym,"" na pierwszym miejscu. Brakuje takich ludzi w polskiej polityce – tak Arkadiusza „Arama” Rybickiego. Zmarłego w katastrofie smoleńskiej Rybickiego można opisać na wiele sposobów. Ot chociażby, wyliczając pokrótce niektóre fragmenty jego bogatego życiorysu: polityk, działacz samorządowy, jeden z założycieli Studenckiego Komitetu „Solidarność” w Gdańsku, członek NSZZ „Solidarność”, bliski współpracownik Lecha Wałęsy, podsekretarz stanu w Ministerstwie Kultury, gdański radny miasta, członek partii republikańskich i konserwatywnych, parlamentarzysta PO.

Piłkarz, obrońca, doskonały wykonawca rzutów karnych, okularnik z bujną czupryną, mediator na boisku i poza nim, wielki fan nowinek, człowiek dialogu, demokrat, odważny już w czasach liceum, przyjaciel do końca, członek rodziny, kochający ojciec, facet, którego słuchało się z otwartą gębą. I po prostu dobry i mądry człowiek.

Niech się Polska przyśni Tobie



Stanisław Zajęc

Był wybitnym prawnikiem. Podziwialiśmy Jego erudycję, cierpliwość i zaangażowanie w sprawy, które prowadził. Był wybitnym prawnikiem. Zawile zagadnienia potrafił wytłumaczyć w sposób zrozumiały dla wszystkich. Jego przemowy słuchane były z wielkim zainteresowaniem. Był także wspaniałym kolegą i przyjacielem, na którego zawsze można było liczyć. Nigdy nie odmawiał pomocy zarówno w sprawach zawodowych, jak i osobistych. Staszek przedstawiał człowieka dumnego z tego, skąd pochodzi, w pełni zaangażowanego w sprawy regionu, a w szczególności Jasła. Poświęcenie i oddanie tym sprawom zawsze budziło mój szczerzy podziw i uznanie. Jego odejście jest niepowetowaną stratą dla Polski, regionu podkarpackiego, miasta Jasła. Na zawsze zapamiętamy Staszka jako serdecznego, uśmiechniętego, oddanego bez reszty Rodzinie i sprawom, którymi się zajmował, będącego wzorem prawnika i kolegi.

Od dziecka marzył, żeby zostać pilotem i tej pasji podporządkował całe swoje życie. Chociaż nauczyciele wróżyli mu karierę naukowca, Artur Ziętek wybrał wojsko. „Służyć ojczyźnie, a nawet oddać za nią życie” – oto słowa przysięgi, którą – jak podkreślają krewni – Artur wypełnił do końca.



Artur Ziętek

Wojsko było mu przeznaczone. Nie mogło być inaczej, skoro przyszedł na świat 12. października 1978 roku, w święto Wojska Polskiego. W 2001 r., został absolwentem Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie. Zaczął realizować swoją pasję. W latach 2001–2007, służył w 2. Ośrodku Szkolenia Lotniczego na stanowiskach pilota i starszego pilota. W 2007 roku, rozpoczął służbę jako starszy pilot klucza lotniczego eskadry lotniczej w 36. Specjalnym Pułku Lotnictwa Transportowego. Miał uprawnienia, by wykonywać loty w charakterze drugiego pilota na samolocie Jak-40 oraz nawigatora na Tu-154 M. Dwa miesiące przed katastrofą smoleńską uczestniczył w misji humanitarnej dla ofiar trzęsienia ziemi na Haiti, wraz z załogą polecili tam Tu-154 M101 – takim samym samolotem lecieli w kwietniu na uroczystości w Katyniu. 4. lutego 2010 r., członkowie 36. SPLT zostali za swoje poświęcenie wyróżnieni przez dowódcę Sił Powietrznych RP gen. Andrzeja Błasika, z którym ponownie spotkali się 10. kwietnia.

Coś, co zostaje między przyjaciółmi

To trochę tak jak między piłkarzami z jednej drużyny: kiedy poza boiskiem jest fajna chemia, to i na boisku gra się razem lepiej. U nas działało to np. tak, że jak jechaliśmy razem w tę czy inną delegację – a obaj byliśmy kierowcami – to nie potrzebowaliśmy radiostacji, żeby wiedzieć, kto ma gdzieś wjechać pierwszy, a kto drugi – mówi Artur Nawieśniak, były funkcjonariusz BOR i przyjaciel Artura Francuza.



Artur Francuz

Prezentował szczerość i poczucie humoru. Koleżeńskość – taką profesjonalną też, ale nie tylko. Lubił dobrze żyć z ludźmi. Francuz był kierowcą i adiutantem prezydenta Kaczorowskiego, który traktował go niemal po ojcowsku. Była to taka relacja, która wykraczała poza czysto służbową. Trafia się w tej pracy na różnych VIP-ów, mniej lub bardziej otwartych – a jeśli się zyskuje czyjeś stuprocentowe zaufanie, to też nie od razu. Tu zadziałało chyba kilka rzeczy. Jedną to ta, że Artur zawsze darzył starszych ludzi wielkim szacunkiem. Druga: prezydent Kaczorowski był takim człowiekiem, za którym stał dosłownie i w przenośni kawał historii. Z kolei Artur się historią bardzo interesował, także tą wojenną. A prezydent nie tylko sam miał wojenną przeszłość, ale też wielu ludzi z podobnymi biografiami i zainteresowaniami można było spotkać w jego otoczeniu.



Andrzej Michalak

Kochał samoloty, pasjonował się fotografią i motoryzacją, z oddaniem śledził wyścigi Formuły 1. 10. kwietnia, kilka godzin po katastrofie, dziennikarze Polskiego Radia skontaktowali się z ludźmi, którzy od lat pracowali z Andrzejem.

Artur Kowalski, kolega z 36. Specjalnego Pułku Lotnictwa Transportowego, był kompletnie przybity. Mówił: – To ja razem z nim przygotowywałem samolot. Zналиśmy się ponad dziesięć lat, najpierw razem lataliśmy na jakach. Nasze drogi zawsze gdzieś się krzyżowały. Trudno mi cokolwiek powiedzieć. Zginął on, a to mogłem być ja... Wszyscy straciliśmy wspaniałego człowieka. Doskonały technik, świetnie znał ten samolot. Mało mówił, ale słynął z celnych ripost. Jak zabierał głos, to dokładnie wiedział, co chce powiedzieć. Uwielbiał też fotografię. W jego komputerze pozostało mnóstwo zdjęć, zrobionych także z członkami załogi prezydenckiego tupolewa, który leciał do Smoleńska. Pochowany w kwaterze smoleńskiej na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Po śmierci został mianowany na pierwszy stopień oficerski podporucznika.

„Zupełnie jakby Bóg pokierował tym wszystkim w tak dramatyczny sposób”



Wiesław Woda

Studia odbył na Akademii Rolniczej w Krakowie, uzyskując w 1969 r. dyplom mgr inż. rolnictwa pisał o sobie Wiesław Woda – jeden z najwybitniejszych polityków Polskiego Stronnictwa Ludowego. Wieloletni poseł, wojewoda tarnowski, wicewojewoda krakowski, wiceprezydent Krakowa. Mało który polityk znał realia polskiej wsi tak dobrze jak on. Jego ojciec, również ludowiec, zadbał o wykształcenie syna – Wiesław codziennie pokonywał na rowerze dziesiątki kilometrów, by skończyć liceum. Pod koniec lat 60. Woda zaczął udzielać się w ruchu ludowym, pracował też jako nauczyciel. Szybko ujawnił swój talent pedagogiczny. – Wieśka poznałem jako opiekuna szkolnego koła młodzieży wiejskiej w technikum rolniczym w Czernichowie, na początku lat 70. Prowadził wtedy koło fotograficzne, wykorzystujące jak na tamten czas naprawdę nowoczesne technologie. Jako pedagog był człowiekiem, który umiał gromadzić wokół siebie ludzi i pomagał rozwijać swoje umiejętności – niekoniecznie te, których uczono na lekcjach w szkole – wspomina Andrzej Haręźlak, wicewojewoda małopolski w latach 2001-2003 i 2011-2014, wieloletni współpracownik Wody.



Edward Wojtas

Uwielbiał żartować, był duszą towarzystwa, miał piękny głos i lubił śpiewać, w naszym małym gronie najbliższych znajomych organizował spotkania towarzyskie, które do dziś wszyscy wspominają, i dziś bardzo ich brakuje – tak wspomina swojego zmarłego męża Alina Wojtas. To wydaje się dużo czasu i ból mógłby być mniejszy. Jednak tak nie jest. Ciągła obecność tematyki katastrofy smoleńskiej w przestrzeni publicznej utrwała ból najbliższych. Praktycznie codziennie można usłyszeć w mediach doniesienia na temat Smoleńska i tego, co się mogło wydarzyć. Dopóki to nie ucichnie, trudno będzie zakończyć okres żałoby, a tęsknota pozostanie zawsze.

Nie miała lecieć tym samolotem

Janina zakomunikowała mi kilka dni przed samym wylotem, że dostała oficjalną propozycję... Ten lot był dla niej wielką nobilitacją, choć czuła pewne obawy – wyznał kilka lat po katastrofie mąż.



Janina Fetlińska

W 1971 roku, ukończyła Liceum Medyczne Pielęgniarstwa w Krakowie, gdzie uzyskała dyplom pielęgniarki. Podjęła pracę w Klinice Chirurgii Szczękowej PSK nr 1 przy ul. Kopernika 26 w Krakowie, by po wymaganym 2-letnim stażu podjąć studia na Wydziale Pielęgniarskim Akademii Medycznej w Lublinie. Tytuł magistra pielęgniarstwa zdobyła w 1977 roku. W Centrum Medycznym Kształcenia Podyplomowego w Warszawie w 1984 roku, uzyskała drugi stopień specjalizacji z zakresu organizacji ochrony zdrowia, a w 1986 stopień doktora nauk medycznych.

Zawsze byłaś pierwsza



Joanna Agacka-Indecka

Joanna wywodziła się z domu, w którym wielką wagę przywiązywano do wykształcenia i dobrych manier. Znała płynnie kilka języków. Wybitnie inteligentna, miała w sobie wielką klasę i elegancję. Miała także ogromny talent dyplomatyczny, potrafiła rozmawiać i skutecznie przekonywać do swoich racji rozmówców z każdej strony sceny politycznej. Dzięki temu tak wiele dobrego zrobiła dla adwokatury jako prezes Naczelnej Rady Adwokackiej. Niewątpliwą Jej zasługą było rozwinięcie w adwokaturze na niespotykaną wcześniej skalę różnych form działań pro bono.

Jej miłość nie miała granic. Córka wspomina Ewę Bąkowską

Przez kilkanaście lat mojej przed- i szkolnej edukacji budziła mnie każdego poranka. Czasem głaskaniem po ręce, czasem pocałunkiem złożonym na czole. Któregoś dnia krzyknęłam „zostaw mnie!”, wyrwana z głębokiego snu. Otworzyłam oczy i zobaczyłam jej skamieniałą twarz – pisze córka Ewy Bąkowskiej, Monika.



Ewa Bąkowska

Przez długi czas tylko takie wspomnienia utrzymywały się w mojej głowie. Niestety nie te szczęśliwe, których też było mnóstwo i powoli zaczynam je odkrywać w pamięci – wycieczki górskie, wspólne żarty, wspieranie mnie w moich celach. Studiując przez chwilę filozofię, zainteresowałam się buddyzmem. Jako mocno wierzącej katoliczce mamie wyraźnie to przeszkadzało. Aż pewnego dnia zastałam ją czytającą „Czternastu dalaJamów”. Jej miłość matczyna nie miała granic.

Leciała na grób swojego ojca. Leciał na grób swojego pradziadka

Tego dnia po raz pierwszy wsiadła na pokład samolotu. Czy się bała? Była pod opieką ukochanego wnuka Bartosza, leciała z prezydentem Lechem Kaczyńskim, z rąk którego trzy lata wcześniej odebrała Złoty Krzyż Zasługi. Z pewnością jej myśli były skupione na ojcu, ppor. Franciszku Popławskim, ofierze Katynia. Jego grób odwiedziła tylko raz, 10 lat wcześniej. Wtedy pojechała pociągiem.



Anna Borowska



Bartosz Borowski

20. kwietnia, gorzowska katedra wypełniła się po brzegi. W świątyni przed ołtarzem wystawione były dwie trumny: 82-letniej Anny Borowskiej oraz jej 32-letniego wnuka, Bartosza. Przyszli ich bliscy, przyjaciele, znajomi. I tłumy gorzowian, którzy bardzo dobrze znają rodzinę Borowskich. Pani Anna jako działaczka społeczna, mocno angażowała się w życie miasta. Była nie tylko wiceprzewodniczącą gorzowskiej Rodziny Katyńskiej, do której należała od 1990 roku. Aktywnie działała także w innych w innych stowarzyszeniach, m.in. w oddziale Związku Sybiraków oraz w kościelnym Apostolacie Maryjnym. Dbała o miejskie pomniki upamiętniające ofiary zbrodni katyńskiej oraz sybiraków, nie opuszczała związanych z tymi wydarzeniami uroczystości państwowych. Roześmiana, pogodna. Wzbudzała sympatię i zaufanie. Tak zostanie zapamiętana.

We wspomnieniach o Edwardzie Duchnowskim powtarza się jedno słowo: poświęcenie. Był sekretarz generalny Zarządu Głównego Związku Sybiraków bez reszty poświęcił się swojej misji, która miała dwa wymiary – ten symboliczny i ten jak najbardziej realny.

Po pierwsze, chciał zabezpieczyć wspomnienia sybiraków tak, by następne pokolenia miały dostęp do wiedzy o tragedii zesłańców nawet wtedy, gdy umrą ostatni świadkowie historii. Po drugie zaś, niezmordowanie zabiegał o to, by państwo pomogło materialnie ostatnim żyjącym sybirakom, wypłacając im odszkodowania.

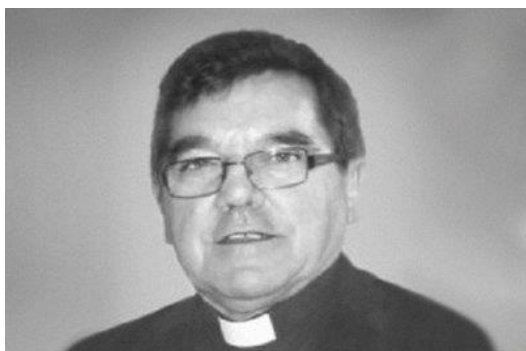


Edward Duchnowski

Dzieciństwo Edwarda zakończył wybuch II wojny światowej. W czerwcu 1941 roku, wraz z rodziną wywieziono go do kolchozu Kubanka w Ałtajskim Kraju – ponad 4 tys. km od domu. Wywózka, która wyrwała rodzinę Duchnowskich była czwartą z wielkich deportacji w latach 1939-1941. Szacuje się, że podczas sowieckiej okupacji wywieziono na Wschód co najmniej 300-400 tys. Polaków. Stłoczeni w wagonach towarowych mężczyźni i kobiety, starcy, dzieci i niemowlęta, jechali setki tysięcy kilometrów, by osiąść na nieludzkiej ziemi.

Duchnowski podczas wystąpienia na międzynarodowym seminarium „Zbrodnia przeciwko ludzkości, świadkowie czasów opowiadają o deportacjach”, które odbyło się w Niemczech w dniach 13.-16. marca 2008 roku, podkreślał, że obca przyroda i surowy klimat były jednym z elementów z całego wachlarza cierpień, jakich doświadczali zesłańcy.

Co ten Bronek tak nas przeprasza, jakby się z nami żegnał?



Bronisław Gostomski

Ks. Bronisława znałem prawie 50 lat, a przez około 40. lat był moim Przyjacielem. Po raz pierwszy spotkaliśmy się w 1966 roku w Wyższym Seminarium Duchownym w Płocku. Oczywiście, była to znajomość na zasadzie, że wiedzieliśmy o sobie, że jesteśmy klerykami tego samego Seminarium. Ja byłem już na trzecim roku studiów i chodziłem w sutannie, a On dopiero stawiał pierwsze kroki w naszej Alma Mater. Ta powierzchowna znajomość chyba trwała do końca moich studiów, do otrzymania święceń kapłańskich w 1970 roku. Bliżej poznaliśmy się kilka lat później, podczas studiów specjalistycznych na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. I znowu powtórzyła się sytuacja sprzed lat: byłem już na trzecim roku historii sztuki, a ks. Bronek rozpoczął studiowanie historii powszechnej.

To, co każdy pamięta, to jego uśmiech i autentyczną, taką właśnie ojcowską troskę w oczach. Był przyjacielem każdego człowieka, którego Bóg postawił mu na drodze. Ojciec Józefie, dziękujemy za Twoje ogromne serce, wiarę w młodego człowieka i uśmiech, którym promieniowałaś wokół – wspomina zmarłego o. Tomasz Olczak prezes Stowarzyszenia Parafiada.



Józef Joniec

Ojciec Józef Joniec SP odbył studia filozoficzno-teologiczne na Instytucie Teologicznym Księżym Misjonarzy i Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie. W dniu 18 maja 1985 r., przyjął święcenia kapłańskie z rąk ks. bpa Władysława Miziołka. Posługę duszpasterską rozpoczął od pracy w Hebdowie, a następnie w Krakowie-Rakowicach. Kontynuował równoległe studia z filologii klasycznej oraz wyjeżdżał na stypendia językowe. W 1990 r., przeniósł się do Warszawy, której nigdy już nie opuścił. W parafii MB Królowej Wyznawców na Siekierkach był w różnych okresach katechetą, wizytatorem katechetycznym, duszpasterzem akademickim, proboszczem parafii, rektorem kolegium pijarskiego, dyrektorem Pijarskiego Centrum Edukacyjnego Stanisława Konarskiego oraz współzałożycielem Pijarskiej Szkoły Podstawowej i Fundacji Krąg Przyjaciół Dziecka. Dziełem życia o. Józefa było zainicjowanie i tworzenie od 1988 r. ruchu parafiadowego, którego głównym celem jest wychowanie dzieci i młodzieży poprzez sport, kulturę i wiarę. Dla promocji i realizacji programu wychowawczo-profilaktycznego w 1992 r. założył Stowarzyszenie Parafiada im. św. Józefa Kalasancjusza i – pełniąc przez wiele lat funkcję prezesa – oddawał temu dziełu wszystkie swoje talenty i zdolności. Ruch parafiadowy rozwijał się szybko i dynamicznie w kraju i za granicą, szczególnie wśród Polonii na Wschodzie, a na Międzynarodową Parafiadę Dzieci i Młodzieży przyjeżdżało do Warszawy 2000 uczestników.

Człowiek z powołaniem



Zdzisław Król

Święcenia kapłańskie przyjął 3. sierpnia 1958 roku, w archikatedrze warszawskiej z rąk kardynała Stefana Wyszyńskiego. Został wikariuszem w parafii św. Anny w Grodzisku Mazowieckim. Kardynał Wyszyński skierował Króla na studia na Wydziale Prawa Kanonicznego KUL. Tam po sześciu latach edukacji uzyskał doktorat. W 1967 roku, został pracownikiem Kurii Metropolitalnej archidiecezji warszawskiej. Przez 13 lat swojego życia piastował urząd kanclerza archidiecezji. Był jednym z najbliższych współpracowników Józefa Glempa. Pełnił również funkcję wikariusza biskupiego i sekretarza Archidiecezjalnej Rady Kapłańskiej, a także członka Rady Biskupiej. Przewodniczył Wydziałowi Charytatywnemu Kurii i Kolegium Konsultorów Kurii. Miał duży wkład w organizowanie pielgrzymek Jana Pawła II do Polski. Pomagał aktywnie w przygotowaniu poszczególnych spotkań i uroczystości, a szczególnie konsultował bezpośrednio z Ojcem Świętym.



Tadeusz Lutoborski

Pomimo tragicznych doświadczeń był niesłychanie towarzyskim optymistą. Kochał życie, ludzi, dyskusje. Kiedy kiedyś zapytałem go, dlaczego jako syn katyńczyka wstąpił do PZPR, powiedział, że wówczas wydawało się, że sytuacja m.in. polityczna jest tak nieodwracalna, że trzeba w tej rzeczywistości szukać jakichkolwiek jasnych stron tego, co się dzieje wokół i działać od wewnątrz. Pracował m.in. w Instytucie Koniunktur i Cen w Ministerstwie Handlu Zagranicznego, później ze względu na świetną znajomość francuskiego wyniesioną jeszcze z przedwojennej szkoły francuskiej przy ulicy Polnej, został attaché ekonomicznym w Biurze Rady Handlowego w Rabacie. Ale podczas pobytu w Maroku już zaczął dawać o sobie znać jego niepokorny charakter. Mieszkaliśmy jeszcze w hotelu. Ojciec cały dzień w pracy, mama to samo, ja w szkole. Spotykaliśmy się wieczorami. Któregoś razu ojciec wpadł w euforii do tego naszego hotelowego pokoju, krzycząc niemalże, że Polak został papieżem. Dostał wtedy niesamowitego przypływu energii. Na zebraniach partyjnych zawsze wyskoczył z jakąś niepoprawną politycznie wypowiedzią. Atmosfera wokół niego się zagęściła na tyle, że został odwołany w połowie 4-letniej normalnie kadencji i wróciliśmy do Warszawy.

...Ale o Katyniu generalnie mówiło się niewiele. Oczywiście chodziliśmy na Powązki, gdzie dołek katyński był otoczony drewnianym płotem i zapalaliśmy tam znicze. Miało to charakter mocno konspiracyjny. Pamiętam też, jak ojciec jakimś cudem załatwił wmurowanie w katakumbach kościoła Świętego Marcina tablic ku pamięci swoich rodziców. Na jednej z nich pojawiło się słowo Katyń. A to były lata 70. i mimo pewnej odwilży ekonomicznej, to jednak był PRL... Z biegiem lat sprawa katyńska wypełniła całe jego życie. Ten temat stał się najważniejszy. Zebrania, kwesty, na każdym biurku, stole czy stoliku literatura na ten temat. Był już mocno schorowanym starszym panem. Ale oczywiście do głowy by mu nie przyszło, żeby mógł nie skorzystać z zaproszenia, które dostał jako wieloletni przewodniczący Warszawskiej Rodziny Katyńskiej. Tadeusz Lutoborski – żołnierz AK, Powstaniec Warszawski, ekonomista i dyplomata. Prezes Warszawskiej Rodziny Katyńskiej.

Kapłan, któremu zależało

Która Komunia święta jest najważniejsza? – pytał ksiądz Andrzej Kwaśnik w 2005 roku. Dzieci, które wówczas uczestniczyły w swojej pierwszej pełnej Eucharystii, odpowiedziały chórem: „Pierwsza!”. – A ja wam powiem, że ostatnia. (...) Chrześcijanin powinien być przygotowany do dwóch rzeczy: do przyjęcia Komunii świętej i... do spotkania z Bogiem poprzez śmierć.



Andrzej Kwaśnik

W październiku 1995 roku, został proboszczem parafii Zesłania Ducha Świętego w Starej Iwicznej koło Piaseczna. Od 1997 roku, pełnił funkcję wicedziekana dekanatu piaseczyńskiego. W 2007 roku, został przeniesiony do parafii św. Tadeusza Apostoła, gdzie objął funkcję proboszcza. W tym czasie pracował również jako kapelan Oddziału Prewencji Policji w Warszawie i Komendy Powiatowej Policji w Piasecznie. Jest znany również z aktywności w środowiskach motocyklistów. Inicjował i przez lata odprawiał cykliczne msze święte w intencji ofiar wypadków drogowych. W Starej Iwicznej odprawiał msze święte na rozpoczęcie i zakończenie każdego sezonu.

Bożenę Mamontowicz-Łojek z Katyniem połączyła osoba jej męża Jerzego, którego ojciec zginął rozstrzelany przez Sowieców wiosną 1940 roku. Jerzy pisał w swoim testamencie: „*proszę osoby mi bliskie: walczcie zawsze o wyjaśnienie i napiętnowanie mordów w Katyniu, Bologoje i Dergaczi*”. Po jego śmierci Mamontowicz-Łojek – wcześniej tancerka i historyk baletu – w całości zadedykowała swoje życie wypełnianiu woli męża.



Bożena Mamontowicz-Łojek

Mamontowicz uczyła się w Warszawskiej Szkole Baletowej. Tańczyła w Centralnym Zespole Wojska Polskiego, na scenach Łodzi i Warszawy, a na przełomie lat 50. i 60., w Zespole Pieśni i Tańca Mazowsze. Z racji swojej pracy, często podróżowała. W 1960 roku, na sześć miesięcy wyjechała do Chin, Japonii, ZSRR i Korei, nie zdecydowała się jednak na poświęcenia życia karierze artystycznej, ale zajęła się nauką. W 1966 roku, ukończyła studia, a w roku 1972, obroniła doktorat o tancerzach króla Stanisława Augusta. Jesienią 1956 roku, dzięki wspólnemu przyjacielowi Zbigniewowi Irzykowi, poznała swojego przyszłego męża Jerzego, którego spotkała na jednym z wieczorów poetyckich. Jerzy był świeżo upieczonym absolwentem historii na Uniwersytecie Warszawskim i właśnie rozpoczynał pracę w Instytucie Prasoznawczym PAN. Jego przyszła żona przygotowywała się właśnie do matury, a dwaj przyjaciele pomagali Bożenie i jej koleżankom w nauce.

Walczył o prawdę na temat zbrodni katyńskiej.



Stefan Melak

Stefan Melak, znany też pod pseudonimami Jan Ostrogski, Lida A. i Wilno Z. Jego przodkowie walczyli zarówno w powstaniach listopadowym i styczniowym, jak i w kampanii wrześniowej. Miał trzech braci: Andrzeja, Arkadiusza i Sławomira. To z nimi i z ks. Wacławem Karłowiczem założył w 1974 roku Krąg Pamięci Narodowej. Wcześniej, jako student Uniwersytetu Warszawskiego, uczestniczył w protestach Marca '68. Był spadkobiercą myślenia młodzieży z czasów zaborów, który łączył romantyczne myślenie o narodzie z pozytywistycznym podejściem do walki o polskość. Nigdy nie uważał powstań narodowych za porażkę, a Romualda Traugutta chciał wznosić na ołtarze. Kilka lat później, w 1979 roku założył, razem z ks. Wacławem Karłowiczem, Konspiracyjny Komitet Katyński. W tamtych latach walka o pamięć poległych w Katyniu wiązała się z prześladowaniami ze strony władz, ale też obojętnością większości społeczeństwa. To właśnie Komitet Katyński w osobach Melaka i Karłowicza uważał, że zakłamywanie zbrodni katyńskiej jest jednym z celów PRL-u. Kierował akcją postawienia 31. lipca 1981 roku w Dolince Katyńskiej pierwszego w Polsce pomnika katyńskiego. Monument wykonał jego brat Arkadiusz. Pomnik ważył kilka ton, więc jego konspiracyjne wzniesienie było nie lada wyzwaniem. Po interwencji Ambasady Związku Radzieckiego pomnik usunięto. Odzyskano go w 1989 roku, a 8. września 1995 r., postawiono go ponownie. Za swoją działalność w „Solidarności” i silnie antykomunistyczne poglądy Melak był internowany 13. grudnia 1981 roku, w ośrodkach odosobnienia w Warszawie-Białoleścu, Jaworzu i Darłównie. To właśnie z inicjatywy Stefana Melaka, już po 1989 roku, postawiono w Charkowie i Miednoje krzyże upamiętniające Polaków zamordowanych przez NKWD w 1940 roku.



Stanisław Mikke

Człowiek „na tak” – takim określeniem go nazywano. Jakikolwiek pomysł mu się poddało, nie negował go. Od razu zaczynał na głos układać plan jego realizacji. Miał w sobie wiecznie młodzieńczy entuzjazm i żarliwość. Jego oczkiem w głowie był redagowany przezeń miesięcznik adwokatury polskiej „Palestra”. Nie dopuszczał, by pismo się zrutynizowało, stale gotów był coś w nim ulepszać od strony merytorycznej czy graficznej. Mnóstwo czasu i serca wkładał w pozyskiwanie nowych autorów. Pod jego ręką „Palestra” uzyskała unikalny klimat: przy wysokim poziomie naukowym i praktycznej przydatności fachowych tekstów, nie ziała prawniczym nudziarstwem i każdy – także nieprawnik, biorąc do ręki kolejny numer, musiał od razu docenić pomysłowość i staranność zaprojektowania okładki, niebanalny dobór tekstów o charakterze prawnohistorycznym, ambicje literackie obracające się wokół tematów sprawiedliwości i prawa.

Człowiek, który kochał sport

Niewiele zabrakło, a Piotr Nurowski nie wsiadłby do samolotu do Smoleńska. Zawsze jednak chciał być w centrum wydarzeń, więc polecał. Jego strata do dzisiaj jest odczuwalna dla polskiego sportu.



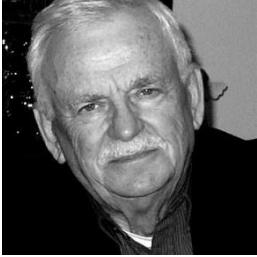
Piotr Nurowski

Może w czwartek? Nie dam rady. Jestem we Francji, a w sobotę pewnie polecę do Katynia. **Do Katynia?**

Leci delegacja rządowa, PKOl dostał zaproszenie. A tam zginęli też olimpijczycy, trzeba być. Umawiamy się w przyszłym tygodniu. Był poniedziałek, może wtorek, tuż przed sobotą, 10. kwietnia, gdy ostatni raz rozmawiałem z prezesem PKOl Piotrem Nurowskim. W weekend polecałem do Rzymu.

W sobotni poranek ludzie w kolejce do Koloseum zaczęli mówić dużo o „crash of polish air force one”. Chwilę później nie przestawał dzwonić mój telefon. Nikt nic nie wiedział poza tym, że samolot z delegacją rządową się rozbił. Zadzwoniłem do Adama Krzesińskiego, sekretarza generalnego PKOl. Wiedział tyle co ja, czyli niewiele. Kilkanaście minut później oddzwonił z informacją, że prezes Nurowski wysiadł z samochodu i ruszył do samolotu. Trochę późno, ale skoro nie ma z nim kontaktu, to najpewniej zdążył. Niestety zdążył... A niewiele zabrakło, że nie dałby rady ruszyć do Rosji z najważniejszymi ludźmi w Polsce, bo kilka dni przed wylotem trwało spore zamieszanie. Trzeba było naprawdę wielkich zabiegów, żeby wbić rosyjską wizę do paszportu Nurowskiego. Kilka dni po katastrofie znani sportowcy, ludzie biznesu i polityki, rodzina i przyjaciele prezesa spotkali się w katedrze św. Michała i Floriana na warszawskiej Pradze. Nie wszyscy zdołali wejść do środka. Na warszawskich Powązkach, w Alei Zasłużonych, gdzie odbył się pogrzeb, też były tłumy.

Jego ojciec i stryj zostali zamordowani w Katyniu. On sam mógł odwiedzić ich groby dopiero kilkadziesiąt lat później. W swoim życiu zrobił wiele, by kolejne młode pokolenia mogły poznawać niezafałszowaną historię.



Leszek Solski

Leszek Solski pochodził z rodziny o bogatych tradycjach patriotycznych. W czasie wojny jego ojciec Kazimierz służył w Nowogrodzkiej Brygadzie Kawalerii i był m.in. adiutantem gen. Andersa. Kiedy do Polski weszli Sowieci, został aresztowany przez NKWD. Trafił do obozu w Kozielsku. 17. kwietnia 1940 r., został zamordowany w Katyniu. Dziewięć dni wcześniej w Katyniu zginął także jego brat. Przy jego szczątkach odnaleziono pamiątnik, który posłużył Wajdzie przy tworzeniu filmu „Katyń”.

W 1989 roku, uczestniczył w pielgrzymce do Katynia. Trudno sobie nawet wyobrazić, co musiał czuć ten 54-letni wówczas mężczyzna. W pewnym momencie doszło do szczególnie wzruszającego momentu. „Trwa msza święta. Gdy ksiądz powiedział: przekażmy sobie znak pokoju, Leszek podszedł wraz z nim do radzieckich notabli i podał im rękę. To był rodzaj symbolicznego przebaczenia” – czytamy w reportażu.

Ocalić od zapomnienia

Gdyby nie ta katastrofa, to przypuszczam, że pani Bronia dożyłaby setki, tak jak jej mama, która żyła 98 czy 99 lat. One miały taką samą naturę – mama też była taka energiczna i ta energia je trzymała – wspomina Bronisławę Orawiec-Löffler zaprzyjaźniona z nią Teresa, nauczycielka i współorganizatorka Dnia Katyńskiego, który odbywa się w Poroninie od 10. lat.



Bronisława Orawiec-Löffler

– Pani Bronia była naszą sąsiadką, mieszkała dwa domy ode mnie. Pamiętam ją od dziecka, bo była jeszcze starsza od mojej mamy. Była bardzo energiczna. Szybko chodziła, zawsze wyprostowana, nie miała żadnego skrzywienia, ale taką ładną jak na 80-letnią kobietę postawę. Orawcowie byli jednym z najbardziej zasłużonych poronińskich rodów – brali udział w zakładaniu miejscowej straży pożarnej, Związku Podhalan, byli działaczami Stronnictwa Ludowego i wybudowali pierwszy kościół. W trakcie II wojny światowej aktywnie działali w podległym AK Oddziale Dywersyjnym „Ciupaga”. W domu rodziców Broni mieścił się punkt przerzutowy dla kurierów Związku Walki Zbrojnej. Jedną z osób, która zatrzymała się u Orawców, był oficer z Warszawy, który kierował się na Węgry z wiadomością dla polskiego rządu. Niestety, wkrótce po jego przybyciu pojawiło się gestapo, które aresztowało oficera i wysłało go do Oświęcimia. Jak okazało się później, był nim Franciszek Gajowniczek – więzień, za którego swoje życie ofiarował w obozie ojciec Maksymilian Kolbe. Brat ojca Bronisławy, Franciszek Orawiec, był majorem Wojska Polskiego. Już w czasach I wojny światowej walczył w Legionach Polskich. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wstąpił do Wojska Polskiego i został skierowany do 2. Pułku Strzelców Podhalańskich. W 1939 roku, w niewyjaśnionych okolicznościach dostał się do niewoli niemieckiej. Po wkroczeniu na ziemie polskie wojsk radzieckich został oddany Sowietaom w ramach wymiany jeńców. Przebywający z Orawcem jego ordynans opowiadał później, że udało mu się zorganizować dla majora cywilne ubrania, w których Franciszek mógłby uciec, ten jednak stwierdził, że na ucieczkę nie pozwala mu honor.



Katarzyna Piskorska

Katarzyna Piskorska na początku marca skończyłaby 81 lat. Tradycję harcerską przejęła po rodzicach. Jako córka zamordowanego w Charkowie podporucznika kawalerii znaczną część pracy i twórczości poświęciła upamiętnianiu sprawy katyńskiej. Zginęła pod Smoleńskiem, gdzie chciała oddać hołd zmarłemu ojcu. Ojca straciła w wieku dwóch lat. Tomasz Piskorski najpierw był internowany w Starobielsku, a następnie przewieziony do Charkowa, gdzie został rozstrzelany. Śmiercią ojca była obciążona od najmłodszych lat. Miłość, tęsknota oraz дума z tego ojca bohatera zogniskowały się i przybrały formę wewnętrznego drogowskazu, który nosiła odtąd w sobie.

Krzyż, orzeł bez głowy i pieta

Wojciech Seweryn urodził się w dniu wybuchu II wojny światowej. Był artystą plastykiem. „Testamentem” swojego życia uczynił słynny chicagowski pomnik poświęcony zbrodni w Katyniu, gdzie został zamordowany jego ojciec, Mieczysław Seweryn, oficer 16. Pułku Piechoty. Zginął 10. kwietnia 2010 roku – siedemdziesiąt lat po śmierci ojca.



Wojciech Seweryn

Urodził się w Tarnowie. Ojciec zdołał go jeszcze zobaczyć – widział syna tylko przez godzinę. Kilka miesięcy później, wiosną 1940 roku, wywieziony z obozu w Kozielsku, zginął pod Katyniem. Wojciech ojca nie mógł pamiętać – ale też nigdy o nim nie zapomniał. Ale pamięć o tragicznej śmierci zaważyła na jego własnej historii: aktywnie zabiegał o pamięć i uhonorowanie ofiar zbrodni stalinowskich. Walka o pamięć stała się jego misją. Wiekopomny wyraz prowadzonej walki dał przy pomocy artystycznych zdolności. W latach siedemdziesiątych wyemigrował do USA, osiadł w Chicago. Tu również zaangażował się w szerzenie prawdy o Katyniu. Przez ostatnich dziesięć lat całkowicie poświęcił się budowie słynnego pomnika Katyńskiego, który określał jako „testament swojego życia”. Przez lata planował i projektował, zbierał fundusze i angażował w swój plan m.in. członków miejscowej Polonii. Komitet Budowy Pomnika Ofiar Katyńskich powstał wiosną 2000 roku. Wojciech Seweryn stanął na jego czele. Uroczystość odsłonięcia pomnika odbyła się 17 maja 2009 roku – głównym gościem tego wydarzenia był Józef Glemp.

W uroczystościach uczestniczył także Waszczykowski, zastępca szefa polskiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Odczytał on list, który Prezydent RP – Lech Kaczyński – skierował do wszystkich zebranych. W liście pojawiła się oficjalna informacja o nominacji. Wojciech Seweryn został odznaczony przez Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej.



Gabriela Zych

W Katyniu zamordowano jej teścia. To z miłości do swojego męża, pani Gabriela poświęciła sporą część swojego życia dbałości o pamięć o tej wielkiej tragedii. Razem założyli w Kaliszu stowarzyszenie Rodzina Katynia, z ich inicjatywy w tym wielkopolskim mieście upamiętniono ofiary NKWD, stawiając im pomnik. Kiedy odszedł Lech, jego żona przejęła po nim rolę prezesa stowarzyszenia. Sprawa katyńska była dla niej świętością. Dla mamy na pierwszym planie była rodzina, ale tuż za nią była sprawa katyńska, dbanie o kultywowanie pamięci i starania, by całą prawdę o tych wydarzeniach przekazać młodym. Organizowała wyjazdy na różne uroczystości, brała czynny udział w upamiętnianiu ofiar i w spotkaniach z młodzieżą. Ale przede wszystkim zajmowała się codziennymi sprawami naszego stowarzyszenia – mówi syn.

Wspomnienie o Tadku



Tadeusz Buk

„Bukowy” doskonale znał dywizję, jej garnizony, poligony i kadrę zawodową. W służbie był niezwykle sprawny. Znał swoje rzemiosło jak mało kto. Zawsze był przy swoich żołnierzach. A ci niezwykle go szanowali, lecz również trochę się go obawiali. Potrafił być niczym ojciec dla młodych żołnierzy, przeprowadzić ich przez pierwsze lata w armii, służył wsparciem i radą. Potrafił być też jednak dość surowy dla tych, którzy chcieli „się ślizgać” w wojsku. Niewielki wzrostem, duchem wielki. Gdzie inni nie mogli, wystarczyło wysłać „Bukowatego”. Absolwent polskich i amerykańskich uczelni wojskowych. Cechowała go wybitna wiedza fachowa. Zawsze miał swoje zdanie i co ciekawe, zawsze było ono odmienne od szablonów oceny sytuacji operacyjnej. Konsekwentny, często uparty. Odpowiedzialny i bardzo samodzielny. Obdarzony niezwykłą pamięcią. Cytował z wielką swobodą wersety z Biblii, myśli Cyserona czy dialogi z filmu „Miś”. Dowcipniś i kawalarz. Oczywiście pod warunkiem, że nie on był ich obiektem.

Bóg nie patrzy, ile przynosimy, ale czy coś przynosimy



Jan Osiński

Ks. płk Jan Osiński – to ten, który był obok lub krok za biskupem polowym Wojska Polskiego Płoskim. 15. listopada 2004 r., biskup Tadeusz Płoski mianował go swoim osobistym sekretarzem. Nie jest to częste, aby nowy ordynariusz chciał na urzędzie zachować sekretarza poprzedniego biskupa. Biskup Tadeusz postąpił inaczej. W ks. Osińskim dostrzegł przymioty i walory, które go predysponowały do tej właśnie roli. Jaki był na co dzień? Radosny i pogodny. Zachował coś z postawy dziecka, które umie cieszyć się i radować nawet małymi wydarzeniami i sprawami – opowiadał o zmarłym Janie Osińskim rzecznik prasowy Ordynariatu Polowego ks. Zbigniew Kępa.



Andrzej Karweta

W 1986 roku, objął dowodzenie swoim pierwszym okrętem ORP „Czapla”, z którym w 1987 i 1988 r. zdobył miano najlepszego okrętu 9. FOW. W latach 1989-1992, dowodził grupą taktyczną i okrętem ORP „Mewa”. W latach 1996-2002. dowodził 13. Dywizjonem Trałowców. Były to przełomowe lata dla tego dywizjonu. Właśnie wtedy trałowce projektu 206F przechodziły gruntowną modernizację i były przygotowywane do służby w ramach Sojuszu Północnoatlantyckiego już jako niszczyciele min. Od 2002 roku, okręty te rozpoczęły na stałe swoją służbę w NATO, a niszczyciel min ORP „Mewa”, którym dziesięć lat wcześniej dowodził Karweta, przeszedł do historii jako pierwszy polski okręt, który podniósł flagę Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Obowiązek żołnierza ponad wszystko!

Dobry, porządny człowiek – mówią podwładni i koledzy generała. W maju 2010 roku, miał pożegnać się z mundurem i zabrać żonę Krystynę w długą podróż. Ich wspólne marzenie roztrzaskało się, jak prezydencka „Tutka” pod Smoleńskiem.



Bronisław Kwiatkowski

Sierpień 2009 rok. W Afganistanie ginie polski żołnierz – kapitan Ambroziński. Wybuch burza medialna. Pojawiają się zarzuty o braki sprzętowe na misji. Gen. Skrzypczak, ówczesny dowódca Wojsk Lądowych, składa dymisję. Oskarża polityków o zaniedbania. W wojsku wrze. Szefem Dowództwa Operacyjnego, odpowiedzialnego za polskie kontyngenty wojskowe poza granicami kraju jest gen. Kwiatkowski. Weteran wielu misji, wie doskonale, czym są działania bojowe, czym jest wojna. Cieszy się sympatią i szacunkiem żołnierzy. W tym czasie politycy w końcu zaczynają mówić, że polscy żołnierze nie mają odpowiedniego sprzętu do działań bojowych, jakie wykonują w Afganistanie. Premierem jest Tusk. Osobiście chce się przekonać, w jakich naprawdę warunkach służą tam żołnierze. Zapada decyzja, że premier leci do Afganistanu. Wiele wyższych dowódców chce mu towarzyszyć. Próbują wydeptywać sobie ścieżki do kancelarii szefa rządu. Premier wybiera gen. Kwiatkowskiego.

Niedowierzanie, chwilowa nadzieja, a później już tylko pustka i rozpacz – pisze gen. Grudziński, przyjaciel i następca na stanowisku dowódcy Garnizonu Warszawa gen. Kazimierza Gilarskiego.



Kazimierz Gilarski

Dla mnie i wielu przyjaciół Kazik był szczególną postacią. Dziś, po ośmiu latach od tragicznej katastrofy, uświadomiłem sobie, że nie sposób zapomnieć tego niezwykłego człowieka. Był prawdziwy we wszystkim, co robił jako żołnierz, mąż, ojciec i przyjaciel. Po ojcu odziedziczył bezkompromisowość, prostolinijność i pewną surowość. Jednocześnie ci, którzy go znali wiedzą, że był też bardzo wrażliwym, pełnym ciepła człowiekiem. A te cechy z kolei zawdzięczał swojej wspaniałej mamie.

Wybrał wojsko jako drogę życiową. Uznał, że z mundurem żołnierza zwiąże swoją przyszłość. Szedł jednak już trochę utartą rodzinną ścieżką, ponieważ jego starszy brat również był oficerem Wojska Polskiego. Los chciał, że Kazik trafił do Warszawy, do Kompanii Reprezentacyjnej WP, a później do pionu reprezentacyjnego Komendy Garnizonu Miasta Stołecznego Warszawy. Dla niego służba wojskowa to nie była zwykła praca. Mundur był całym jego życiem. Nosił go z dumą i godnością. Zawsze nienaganny, elegancki i schludny. Podobał się kobietom. Przypominam sobie, że z pewną zazdrością – my, koledzy Kazika – słuchaliśmy jego opowieści o tym, jak to pani Barbara Bush, żona prezydenta Stanów Zjednoczonych George’a H.W. Busha, puściła do niego oczko, gdy jeszcze jako młody oficer Komendy Garnizonu przedstawiał państwu Bushom historię Grobu Nieznanego Żołnierza.

„Potas” to minerał, który koi nerwy

Wojsko, sport i góry – to były największe pasje gen. Włodzimierza Potasińskiego. Zostawił niedokończone dzieło – dowództwo wojsk specjalnych. – Włodek o wojskach specjalnych mógł opowiadać godzinami. Wprowadzenie ich do światowej elity było jego wielkim marzeniem – wspominają współpracownicy generała.



Włodzimierz Potasiński

– Był uosobieniem dowódcy, komandosa i profesjonalisty – podkreśla gen. Piotr Patalong, były dowódca GROM-u, a później wojsk specjalnych. Obaj oficerowie spotkali się po raz kolejny na kursie dla instruktorów spadochronowych.

Biskup polowy, generał dywizji, profesor doktor habilitowany Tadeusz – same jego tytuły świadczą o wszechstronności, którą się cechował. Na swoim koncie ma setki publikacji. Czynnie uczestniczył w wielu organizacjach i przedsięwzięciach. – To nie był jedynie „zarządzający”, tylko wielki humanista, wielki człowiek nauki, honoru, dobroci, taktu, intelektu.



Tadeusz Płoski

Tuż po święceniach został wikariuszem w parafii św. Józefa w Morągu. Pracował także w kurii biskupiej i sądzie biskupim diecezji warmińskiej w Olsztynie. Pełnił rolę duszpasterza Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie. W 1999 roku, został prałatem, a sześć lat później biskupem polowym. W 2005 roku, Tadeusz Płoski został powołany do składu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. To m.in. tam nasza rozmówczyni Teresa Hernik, dyrektor Biura Administracyjno-Budżetowego Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi, współpracowała z Płoskim. Teresa Hernik przypomina nam o dużym zaangażowaniu Płoskiego także w harcerstwo. – Ja jeszcze znałam biskupa generała z innego tytułu, z uwagi na fakt, że byłam wicenaczelnikiem i naczelnikiem Związku Harcerstwa Polskiego, a z urzędu biskup polowy jest duszpasterzem harcerstwa.

Nigdy nie skarżył się na nadmiar obowiązków

10. kwietnia 2010 roku, ks. płk Adam Pilch, podczas uroczystości w Katyniu, miał ostatni raz reprezentować Ewangelickie Duszpasterstwo Wojskowe. W poniedziałek 12. Kwietnia, miał ustąpić z funkcji pełniącego obowiązki naczelnego kapelana wojskowego.



Adam Pilch

Latem 1990 roku, w Sorkwicach Pilch został ordynowany na duchownego Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce i wikariuszem diecezjalnym diecezji warszawskiej. Niecały rok po tym, jak został pastorem. Czas dzielił między rodzinę a pracę duszpasterską. Został współorganizatorem comiesięcznych ekumenicznych nabożeństw w stolicy. W latach 1992-1995, był przewodniczącym Komisji Młodzieży przy Polskiej Radzie Ekumenicznej. Ukończył studium języka angielskiego uniwersytetu w Londynie. Od 1993 roku, był administratorem, a następnie proboszczem luterańskiej parafii Wniebowstąpienia Pańskiego w Warszawie, a także administratorem parafii ewangelickiej w Żyrardowie oraz w Węgrowie. W 1995 roku, rozpoczął pracę w Ewangelickim Duszpasterstwie Wojskowym. Otrzymał stopień majora na stanowisku dziekana Warszawskiego Okręgu Wojskowego. W latach 1995-1997, pracował w komisji regulacyjnej przy MSWiA. Od 1999 roku, pełnił funkcję zastępcy Ewangelickiego Biskupa Wojskowego w stopniu pułkownika. Sprawował opiekę duszpasterską nad żołnierzami podczas misji w Kosowie, Libanie i Czadzie

Był jednym z dwóch powstańców warszawskich, którzy zginęli w katastrofie. Odznaczony Krzyżem Virtuti Militari V klasy podpułkownik Wojska Polskiego, pośmiertnie awansowany do stopnia pułkownika. Płk Dębski, pseudonim „Zbych”, „Prawdzic” był członkiem kapituły Orderu Wojennego Virtuti Militari i współzałożycielem Związku Powstańców Warszawskich oraz Klubu Kawalerów Orderu Wojennego VM.



Zbigniew Dębski

Po wybuchu wojny cała rodzina ruszyła na wschód, ale Zbigniew wraz z ojcem został aresztowany i osadzony w więzieniu. Trzymali nas najpierw w Żabince, potem w Kobryniu. Oddziały, ci, którzy nas zaaresztowali, jak się później okazało, wysłali listy do komendanta Kobrynia. Po kilkutygodniowym, dwuczy trzytygodniowym przetrzymaniu nas przyszedł komendant, ojciec z nim po rosyjsku rozmawiał. On przeglądał nasze akta z niecierpliwością wielką, ale w rezultacie zrezygnował, bo był też trochę podpity. Zrezygnował, zwinął dokumenty, oddał ojcu, ponieważ mówił po rosyjsku „Idźcie sobie!”. Więc my wyszliśmy – opowiadał.

Podczas okupacji zamieszkał w Warszawie. W tym czasie wstąpił do konspiracji. Po skończeniu kursu dla niższych dowódców został skierowany na zajęcia Szkoły Podchorążych. W batalionie „Kiliński” był od początku jego istnienia. Podczas Powstania Warszawskiego brał udział m.in. w atakach na gmach Poczty Głównej przy pl. Napoleona oraz w kilku atakach na gmach „PAST-y”. W tym ostatnim, jako jeden z pierwszych dotarł do szczytu budynku i zawiesił flagę. Okrzyki triumfu, radości rozległy się oczywiście w okolicy, że to miejsce, z którego tyłu zginęło, w rezultacie zostało zdobyte.

Nieodwracalne

Mam obowiązek wyciągać wnioski, bo prędzej czy później stanę na końcu drogi i trzeba będzie to jakoś podsumować. Wtedy nie chciałbym, żeby było mi wstyd. O trudzie samotnego rodzicielstwa i o zmarłej w Smoleńsku żonie Katarzynie opowiada jej mąż. Jakie były pierwsze myśli? Panika?



Katarzyna Doraczyńska

Jak się pan dowiedział o katastrofie? Od sąsiadki. Ona mi powiedziała, że samolot spadł. Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to żeby włączyć telewizję. Nie, właśnie nie. Pierwszą myślą było: wiedziałem, że tak będzie. Wcześniej, zanim Kasia poleciała, zastanawiałem się, czy wszystko jest w porządku z tymi starymi samolotami. Ale bardziej bałem się o jaki niż o tupolewy. Wielokrotnie pytałem Kasię, gdzie i o której wylądują, sprawdzałem, gdzie dokładnie leży lotnisko w Smoleńsku. Nie było to coś, co zakłócało mi spokój ducha, ale przechodziła mi przez głowę myśl, że w trakcie tych lotów coś się może stać. Wtedy pomyślałem, że katastrofa ma związek z niesprawną konstrukcją.

Kiedy po paru miesiącach udało mi się go pobić, to krzyczał: „Wyhodowałem żmiję na własnej piersi!”. Później śmiali się z tego wszyscy sąsiedzi – wspomina Fedorowicza jego przyjaciel Rafał Kwaczek. To dzięki pochodzącemu z Bydgoszczy tłumaczowi zaczął na poważnie przygodę z bieganiem. Nie dane było im jednak pokonać wspólnie pierwszego maratonu.



Aleksander Fedorowicz

Nazywam się Rafał Kwaczek i jestem menedżerem z sektora nieruchomości, współwłaścicielem agencji 4 Ściany. Z Fedorowiczem poznaliśmy się wiosną 2008 r. Byliśmy sąsiadami w warszawskim Śródmieściu. Przedstawił nas sobie nasz inny sąsiad. Miałem wtedy sporą nadwagę, ważyłem blisko 110 kg i akurat bardzo chciałem to zrzucić, bo za kilka miesięcy miałem jechać w Himalaje. Inaczej nie dałbym rady kondycyjnie na dużych wysokościach. Alex akurat wziął się za bieganie jakiś miesiąc-dwa przede mną. Był wysoki, miał około dwóch metrów wzrostu i też zmagął się ze sporą nadwagą. Musiał ważyć co najmniej 120 kg. Stworzyliśmy więc dość zgrany duet nowo upieczonych biegaczy. Podeszliśmy do sprawy po męsku, ustalając, że widzimy się punktualnie o godz. 7 „pod blokiem” i mówiliśmy, że „kto nie przyjdzie, ten...”. Biegaliśmy przede wszystkim po warszawskich Łazienkach, które o poranku są wręcz wymarzonym miejscem do tego sportu. Jeśli chwilę się zastanowić, to bieganie jest jedynym sportem, do którego predysponowała nas natura. Prehistoryczny człowiek nie chodził przecież ani na siłownię, ani basen, ani nie jeździł na rowerze. W zależności od tego, czy mowa o antylopie, czy tygrysie, on albo gonił, albo był goniony. Dlatego to przychodzi wbrew pozorom dość łatwo i już po dwóch-trzech wyjściach także my przebiegaliśmy po kilka kilometrów. Trzy, czasem cztery razy w tygodniu.

Powróci do ciebie wszystko to, coś rozdał



Roman Indrzejczyk

Zanim został kapłanem prezydenta Kaczyńskiego, przeżył wojnę i okupację, był duszpasterzem w Drwalewie koło Grójca, Grodzisku Mazowieckim i Warszawie. Przez 20 lat pełnił posługę w szpitalu w Tworkach, a na jego plebanii w parafii Dzieciątka Jezus kwitła działalność antykomunistyczna. Swoje bogate, życiowe doświadczenie ojciec Roman zapisał w wierszach, w których widać pokorę, mądrość i wiarę nie tylko w Boga, ale i w człowieka. Poezja w czasach błyskających ekranów to sztuka zapomniana, niemodna, a już na pewno nie dochodowa. Ksiądz wydawał swoje wiersze na własny koszt. Łącznie pięć tomików, które rozdawał bliskim i nieznanym, czasem z okazji Bożego Narodzenia, a czasem podczas przypadkowych spotkań. Ojciec Roman żył w trudnych czasach. Przeżył wojnę, trudny czas walki o wolną Polskę. Spowiadał pokolenia grzeszników. Jego wiersze zdradzają jednak, że nie stracił wiary w człowieka. Nawet jeśli zaczynał wiersz słowami: „Tak różni są ludzie – Zwykli, niezwyčajni, Kłótniwi, zawistni...”.

Na zdjęciach zawsze pogodny, uśmiechnięty, pełen sympatii. Osoby, które miały przyjemność z nim pracować, właśnie tak go wspominają. Pieknie inteligentny, świetny organizator z tysiącem przyjaciół. Taki był i pozostał w pamięci Dariusz Jankowski, pracownik Kancelarii Prezydenta.



Dariusz Jankowski

W archiwach można znaleźć szereg fotografii z wizyt prezydenckich w kraju i za granicą, gdzie towarzyszył kolejnym głowom państw w trakcie ich podróży. Jako członek Zespołu Obsługi Organizacyjnej Prezydenta RP, od 1993 r. zajmował się organizowaniem wizyt Wałęsy, Kwaśniewskiego i Kaczyńskiego. W ostatnim czasie swojej pracy głównie na wschód od Polski: na Ukrainę, Litwę czy do Afganistanu. Także do Rosji, do Katynia, dokąd zmierzał razem z Parą Prezydencką 10. kwietnia 2010 r. Tam, gdzie był z nimi również niecałe trzy lata wcześniej.

– Darek pracował w zespole dyrektora Strużyny. Byli pracownikami kancelarii od zawsze. Przeżyli niejedną administrację. Cechą zespołu organizacyjnego było to, że potrafili załatwić wszystko w najdziwniejszych miejscach i czasie. Zarówno znalezienie paliwa do prezydenckiego tupolewa na stepie w Kazachstanie, ale też załatwienie z papieżem chrztu dla czyjegoś potomka. Niejedna administracja zawdzięczała im dyskretne rozwiązania wielu problemów organizacyjnych i logistycznych. W zasadzie pracowaliśmy razem, odkąd istnieje Kancelaria Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Darek pracował tu najpierw w jakichś służbach technicznych. Jak powierzono mi kierownictwo tego zespołu, to było gdzieś tam w pierwszym czy drugim roku kadencji pana prezydenta Wałęsy, poznałem Darka bliżej i stwierdziłem, że on się tam marnuje. To był pięknie inteligentny, zdolny, pełen energii człowiek. Ja lubiłem ściągać takich ludzi.

Powiedziałam mu, że nie opuszczę go aż do śmierci. A może śmierci w ogóle nie ma?

– Powiedziałam mu, że nie opuszczę go aż do śmierci. I tak będzie. A może śmierci w ogóle nie ma?
– mówi Barbara, żona szefa Protokołu Dyplomatycznego Kazany.



Mariusz Kazana

Barbara Kazana: Do córki zadzwonił przyjaciel mojego męża. Chciał się dowiedzieć, czy Mariusz jest w domu, czy poleciał z całą delegacją do Katynia. Uprzedził, że doszło do katastrofy i poprosił, żebyśmy włączyły telewizor. Ja jeszcze spałam. Płacz córki mnie wybudził. Ze Smoleńska spływały różne informacje. Był chaos. Patrzyłyśmy w telewizor i nie chciałyśmy w to wszystko uwierzyć. Siedziałyśmy i przekonywałyśmy się, że to nie dzieje się naprawdę. Chwilę później nie byłyśmy już same. Pojawiali się kolejni ludzie. I wie pan, że ja nic więcej nie pamiętam. Zaraz zrobiło się tłoczno, ale ja nawet nie wiem, skąd nagle pojawiło się tyle osób. Pamiętam jedno: rozpaczliwie błagałam wszystkich o pomoc. Nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Spojrzałam na przyjaciela mojego męża, płakał, ale obiecywał, że we wszystkim nam pomoże.

Generał Komornicki ps. Nałęcz miał cały czas coś z takiego chłopca, łobuziaka w dobrym wydaniu. Ten jego szelmowski uśmiech połączony z błyskotliwym poczuciem humoru sprawiał, że był powszechnie lubiany. Zresztą on sam nigdy nie widział w ludziach nic złego – mówi Małgorzata Brama, reżyserka filmowa, wielka przyjaciółka generała.



Stanisław Nałęcz-Komornicki

O bohaterskich czynach generała na froncie przeczytamy w licznych publikacjach. Znacznie mniej z nich dowiemy się o życiu prywatnym Komornickiego. Jaki bywał, gdy zdejmował żołnierski mundur?

Generał „Nałęcz” był postacią wybitną. Miał taki rzadko spotykany dar. Każdy, kto się z nim zetknął, wiedział, że ma do czynienia z kimś nietuzinkowym. Rozmawiałam z ludźmi, którzy tylko raz widzieli generała. Zgodnie podkreślali, że był osobą, która na zawsze zostanie w pamięci. Był też niezwykle poważany – we wszystkich kręgach. I on sam szanował wszystkich: szeregowca, generała, jak i bezdomnego. Bez względu na to, kim byli. On z kimś, kto wyrządziłby mu krzywdę, postąpiłby tak samo, jak Jan Paweł II z Mehmetem Ali Agcą. Po prostu podszedłby, porozmawiał, a następnie przebaczył. To też były inne czasy. Polityka w mniejszym stopniu ingerowała w historię. Nie było wówczas podziałów „na prawo, na lewo”. Nie było też osoby, która by powiedziała, że generała nie szanuje.

Latałam z nim często, rozmawiałam z nim przez setki godzin, ale i tak nie zdążył mi opowiedzieć wszystkiego. To był niesamowicie inteligentny człowiek, jego chciało się słuchać. Powiem więcej, jego opowieści były filmowe. A trzeba zaznaczyć, że przemawiał bardzo ciekawie, a w słowach, które wypowiadał, nie było zbędnych wtrąceń czy gładzenia.

„Oficer powinien choć raz polecieć do Katynia”. On nie wrócił



Wojciech Lubiński

Wojtek był dynamiczny, niesłuchanie operatywny. Nawet go zapytałam: „Tyle osiągnąłeś w młodym wieku, co ty będziesz robił później?”. Żałuję, że to powiedziałam – z dr. Smoszną przyjacielem Lubińskiego, rozmawia Aleksandra Pezda.

Osiem lat po katastrofie w Smoleńsku – jak pan obchodzi kolejne rocznice?

Co roku idę na cmentarz i palę znicze. Bardzo wcześnie, unikam oficjalnych uroczystości. Przede wszystkim idę spotkać się z Wojtkiem, duchowo oczywiście.

Co mu pan mówi?

Nie wiem już, czy bardziej go przepraszam, czy mu dziękuję, że żyję. To ja miałem polecieć, nie on. Kiedyś mu relacjonowałam „rewelacje” z kolejnych komisji w sprawie smoleńskiej. Myślę, że on by się z tego uśmieł, z tych niestworzonych teorii spiskowych. Ostatnio częściej go jednak wspominam, niż z nim rozmawiam. Na jego grobie jest umieszczone podobne zdjęcie do tego, które wisi w moim gabinecie. Słyszę tę rozmowę w mojej głowie, ciągle. Ten lot był w moim grafiku. Ale ja już się nalatałem – jako lekarz prezydentów Kwaśniewskiego i Kaczyńskiego. No i byłem już w Katyniu. Namawiałem więc młodszego kolegę, gorzej – wjechałem mu na ambicję. Powiedziałem: „Wojteczku, jesteś oficerem, a każdy oficer powinien choć raz polecieć do Katynia”.



Barbara Mamińska

Była zawsze uśmiechnięta, otwarta, chętna do pomocy. Jak wspominał Andrzej Duda, każdy wiedział, że nikogo nie odrzuci. Mamińska była filarem Kancelarii Prezydenta Kaczyńskiego. Była córką Tadeusza Osińskiego, żołnierza oddziału Mariana Bernaciaka, dowódcy zgrupowania partyzanckiego AK i WiN na Lubelszczyźnie. Ukończyła krakowską Akademię Wychowania Fizycznego na kierunku rehabilitacja ruchowa. Pracowała m.in. jako dyrektor Biura Spraw Pracowniczych w Dyrekcji Generalnej PKP. Współpracę z Lechem Kaczyńskim rozpoczęła jeszcze w czasach, gdy piastował urząd prezydenta Warszawy. W latach 2002-2005, w warszawskim ratuszu pełniła stanowisko dyrektora ds. kadr i szkoleń. W 2005 roku, po wyborze Lecha Kaczyńskiego na prezydenta Polski, została dyrektorem Biura Kadr i Odznaczeń. Jednak jej praca wykraczała daleko poza ramy określone przez stanowisko. Ważnym obszarem jej działalności była współpraca ze środowiskami kombatanckimi – poszukiwała ludzi, o których z różnych względów historia zapomniała, a którzy zasłużyli się dla kraju.

Swoisty obowiązek



Janina Natusiewicz-Mirer

Ciotka była osobą dobrze uporządkowaną, jej ojciec, a mój dziadek, był prawnikiem, to była dobra szkoła, wschodnia osobowość. Nigdy nie mówiło się więcej niż trzeba – wspomina Marek Natusiewicz, bratanek Janiny. – Tamta podróż do Katynia był dla niej swoistym obowiązkiem – dodaje. Ciocia w czasie II wojny światowej, będąc jeszcze dzieckiem, została wywieziona wraz ze swoją matką na Syberię. Gdzie dokładnie, nie wiem, nigdy się o tym nie rozmawiało. Opuściły ją razem z Armią Andersa i trafiły ostatecznie na pogranicze Kenii i Tanganiki. Stamtąd w 1947 roku, przypłynęły do Genui. Dziadek, który powrócił do Polski z pracy w Niemczech, odnalazł je poprzez Czerwony Krzyż i wszyscy zamieszkali w Jaworze na Dolnym Śląsku. Uczyła się u urszulanek we Wrocławiu, tam też przystąpiła do matury. Studiowała potem archeologię. Chciała być dziennikarką, zapisała się na Studium Dziennikarskie w Warszawie. Przez krótki okres pracowała we wrocławskiej gazecie „Wieczór Wrocławia”. Następnie pracowała w Pracowniach Konserwacji Zabytków, zajmowała się m.in. zbieraniem materiałów na temat Panoramy Raclawickiej.



Ryszard Rumianek

Kiedy był ministrantem, prymas Wyszyński wizytował parafię, w której wówczas mieszkał. Podczas mszy zatrzymał się przy nim, położył rękę na jego ramieniu. Tak zaczęła się kapłańska droga ks. prof. Ryszarda Rumianka. Ks. prof. Ryszard Rumianek w latach 2005–2010, był rektorem Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Pełnił także funkcje kierownika katedr: Historii Biblijnej i Filologii Biblijnej. Był także członkiem Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego w Jerozolimie. Wielokrotnie bywał w Ziemi Świętej, był cenionym biblistą. Zajmował się badaniem Starego Testamentu, przede wszystkim Księgi Ezechiela. Był osobą niezwykle zasłużoną dla uniwersytetu. Pozyskał ogromne pieniądze na rozwój infrastruktury UKSW i wybudował kampus na ul. Wóycickiego, który już po śmierci nazwano jego imieniem. Miał rękę do tego rodzaju inicjatyw. Przez pewien czas pełnił funkcję ekonoma diecezjalnego, co pozwalało mu poprzez finanse archidiecezji prostować sprawy majątku kościelnego oraz inicjować kolejne inwestycje.

To się nie mogło zdarzyć



Izabela Tomaszewska

Niektóre rodziny były przeciwnie otwieraniu trumien. Nie chciały naruszać spokoju zmarłych. Nie chciały oglądać zmasakrowanych ciał swoich bliskich. Matka Izabeli też oponowała, ale Małgorzacie udało się ją przekonać. – Musimy wiedzieć, co się w trumnie znajduje. Kilka ciał przecież zamieniono... – argumentowała. Myśli o szczątkach Izy, które znaleziono po jakimś czasie. Część czaszki, dłoni, Boże, jakie to wszystko okropne! Była piękną kobietą, zgrabną, wysportowaną. Gdy sunęła na wrotkach parkową alejką, wyglądała jak nastolatka, siostra swojego syna Filipa. Ekshumacja zwłok Izabeli odbyła się w październiku ubiegłego roku na Wojskowych Powązkach. O pierwszej w nocy zaczęto kopać, wydobyto trumnę, wszystko osłonięte namiotem, obok drugi namiot dla rodziny. Jacek, mąż Izabeli, i Małgorzata uczestniczą w trwającej do rana procedurze wydobywania zwłok z grobu. Chciała jechać też do Krakowa, gdzie odbywała się sekcja zwłok, ale Jacek prosił, żeby tego nie robić. Sam nie czuł się na siłach, ale nie chciał, żeby i Małgorzata oglądała Izę po siedmiu latach od pogrzebu. Uszanowała jego wolę. Umówiła się z prokuratorem, że będzie ją na bieżąco informował, co znajduje się w trumnie. Ma stale w głowie tę sobotę 10. kwietnia 2010 roku. Miała iść z mamą na zakupy. Kilka dni wcześniej Iza z Jackiem wrócili do Warszawy po świętach Wielkiej Nocy, które zwykle spędzali w Gdańsku. Wszyscy szli na grób ojca złożyć kwiaty i zapalić znicze. – Bardzo przeżyliśmy śmierć taty – wspomina Małgorzata. – Czy mogłam przypuszczać, że niebawem stracę także siostrę? Ludzie umierają, taka jest kolej losu, ale dlaczego tak nagle, tak głupio?



Robert Grzywna

Wielki pasjonat i jeden z najlepszych polskich pilotów. Zawsze uśmiechnięty i jednocześnie skromny. Tak najbliżsi zapamiętali Roberta Grzywnę – drugiego pilota prezydenckiego tupolewa.

Po ukończeniu Liceum Lotniczego w Dęblinie kontynuował naukę w Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych. W 1997 r., został promowany na pierwszy stopień oficerski podporucznika i zaczął służyć w 36. Specjalnym Pułku Lotnictwa Transportowego, od 2009 r., jako dowódca załogi. W 2003 r., ukończył studia w Akademii Obrony Narodowej w Warszawie. Na początku 2010 r. brał udział w akcji pomocy humanitarnej dla ofiar trzęsienia ziemi na Haiti, za co 4. lutego 2010 r., wraz z pozostałymi członkami personelu 36. Specjalnego Pułku Lotnictwa Transportowego został wyróżniony przez dowódcę Sił Powietrznych RP gen. broni pil. Andrzeja Błasika. Do Smoleńska poleciał w charakterze drugiego pilota.

25. kwietnia 2010 r., został pochowany z honorami wojskowymi w Kwaterze Smoleńskiej na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, wraz z trzema innymi członkami załogi samolotu: ppor. Andrzejem Michalakiem oraz stewardesami Barbarą Maciejczyk i Natalią Januszką. Pośmiertnie, decyzją ministra obrony narodowej Bogdana Klichy został awansowany do stopnia podpułkownika.

Kubek i bransoletka



Agnieszka Pogródka-Węclawek

Mnie wydaje się, że wzięła kilka dni urlopu. Zaraz do nas wróci – mówiła o Agnieszce jej koleżanka z pracy. Cisza. Ona była na początku, choć dookoła dominował gwar i medialny szum. Dziennikarze donosili: zginął prezydent, pierwsza dama, ministrowie, posłowie, duchowni. O naszych cisza. Jakby ich nie było na pokładzie. Potem lakoniczna wzmianka. Zginęli funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu. Elita. Dziewięć osób. O każdym kilka zdań. Żywiołem Marka było powietrze, skakał ze spadochronem, Jacek był wolontariuszem w fundacji pomagającej chorym dzieciom, Darek biegał w maratonach, a Artur niedawno kupił sobie skuter. Nie zdążył na nim pojeździć. O niej też niewiele. Zdawkowo. Sztucznie.

Agnieszka Pogródka-Węclawek. 35 lat. Młodszy chorąży. Najmłodsza stażem z funkcjonariuszy BOR, którzy zginęli podczas katastrofy. Jedyna kobieta w tym gronie. W służbie od ośmiu lat. Interesowała się literaturą historyczną i sportem.

A przecież to nie nasza „Agnes”. Nasza była wciąż uśmiechnięta, koleżeńska, pomocna. Każdemu robiła jakieś psikusy, niespodzianki. Potrafiła zadzwonić późnym wieczorem i powiedzieć – Grażynka, alarm wyje w twoim samochodzie. Biegłam wtedy do okna, nasłuchiwałam, a ona na to, oj, Grażynka, w ogóle się nie znasz na żartach. Taka była. Zupełnie inna niż na zdjęciu w gazetach – opowiada Grażyna Kwiatkowska, funkcjonariuszka BOR, koleżanka Agnieszki Pogródki-Węclawek.



WARSZAWA kwiecień 2018

Marsz wyruszył po południu z Placu Zamkowego, by po przejściu Krakowskim Przedmieściem dotrzeć na Plac Piłsudskiego, gdzie odsłonięty został Pomnik Ofiar Tragedii Smoleńskiej. Organizatorem marszu było Stowarzyszenie Solidarni 2010.

Na podstawie „ONET”



SMOLEŃSK 96 WSPOMNIENÍ

SERWIS POŚWIĘCONY PAMIĘCI OFIAR TRAGEDII POD SMOLEŃSKIEM

tekst opracował P. M.

Solidarność PW – Pismo OZ NSZZ „S” w PW wydawane przez Komisję Zakładową
e-mail: nszz@pw.edu.pl; adres internetowy: www.solidarnosc.pw.edu.pl
tel. 22 234 78 72; tel./fax 22 234 53 43